

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(108) 2022

Danuta Nespiak o nadziejach i niepokojach między Polską a Ukrainą ♦ Antoni Wilgusiewicz o kapłanach niezłomnych ♦ Rozmowy z Markiem A. Koprowskim i Danielem K. Markowskim ♦ Paweł Brzegowy o podróżach Emila Dunikowskiego ♦ Proza Tadeusza Olszańskiego i Katarzyny Turaj-Kalińskiej ♦ Poezja Józefa Czechowicza

Choć czas jak rzeka, jak rzeka płynie...

Minęło już pół roku od agresji rosyjskiej na Ukrainę i wciąż nie widać końca rozgrywającego się za naszą granicą dramatu. Szkoda unoszonych bezpowrotnie w przeszłość tamtych dni, gdy mogliśmy napawać się pięknem kresowych miast, podziwiać wracające często z mozołem i nie w takiej formie, jakbyśmy chcieli, zabytki – zarówno świeckie, jak i sakralne. Kiedy różniliśmy się poglądami, staczając batalie na łamach czasopism czy podczas konferencji (choćby Dialog Dwoch Kultur odbywający się corocznie przez dziesięciolecia w Krzemieńcu).

Pisząc ten tekst, uświadomiłem sobie, że w przyszłym roku minie 40 lat od pierwszych krakowskich spotkań lwowskich, jakie odbywały się pod auspicjami o. Adama Studzińskiego – rodem z kresowego Strzemia – w gotyckim kapitułarzu klasztoru OO. Dominikanów. Wspomina o tym Anna Stengl, opisując „Gruszkowe spotkania”. Na wzruszającym zdjęciu wykonanym w roku 2010 w nieistniejącym już Klubie „Zaulek” spotykamy – jakby nigdy nic – uśmiechniętych krakowskich lwowiaków, stanisławowiaków – po prostu kresowiaków... Choć wielu z nich przecież już nie ma z nami...

Nostalgia zawsze towarzyszy powstawaniu kolejnych numerów naszego kwartalnika. Publikujemy wspomnienia, opisy minionych wydarzeń, nie zawsze miłych, wszak dzieje Kresów i ich mieszkańców bywały trudne i dramatyczne. I choć minione tragedie blakną w obliczu zniszczeń śmiercionośnej broni, to nie można ich pomijać milczeniem. Tęsknota za Kresami pogłębia się, bo trudno teraz organizować zbiorowe wyjazdy do kraju broniącego się przed agresorem, choć granica nie jest przecież zamknięta... Jak zwiedzać i zachwycać się pięknem zabytków, gdy każdego dnia wyją syreny ostrzegające przed raketowym ostrzałem? Właściwie pozostaje tylko lektura m.in. naszego pisma, ale i polecanych przez nas książek o Kresach, których w ostatnim czasie na księgarskich półkach nie brakuje.

Życzę spokojnej lektury!

Janusz M. Paluch

Między Orłem a Tryzubem. Niepokój i nadzieja

Tysiącletnie sąsiedztwo polsko-ukraińskie nie jest wolne od różnych spięć i bolesnych konfliktów, powstań kozackich oraz XX-wiecznego krwawego dramatu Wołynia i Małopolski Wschodniej, ale też można znaleźć przykłady zgodnego współżycia, wspólnej pracy i wspólnej walki „o wolność naszą i waszą”.

Stefan Rudnycki (1877–1937) wybitny ukraiński geograf, profesor Uniwersytetu Charkowskiego, ofiara komunistycznego łagru na Wyspach Sołowieckich, dowodził, że charakter narodowy Ukraińców określa skład etniczny ludności wsi, a nie miast.

Za ludność rdzenną Ukrainy uznał chłopów i ta klasa społeczna stanowiła, że Ukraina była niezależna i różna od sąsiadujących z nią ziem Polski, Białorusi, Rosji i Węgier¹. Ukraińcy mają świadomość, że to oni są – a nie Rosjanie! – spadkobiercami średnio-wiecznej Rusi Kijowskiej i etosu kozackiego, ważnego elementu ich bogatej kultury ludowej.

Pierwsze wzmianki o stosunkach rusko-polskich podał mnich Nestor, autor najstarszej *Kroniki Kijowskiej*. Dotyczyły one wyprawy Włodzimierza Wielkiego, który w 980 roku, siedem lat przed chrztem pogańskiej Rusi, odebrał Polakom Przemyśl i Grody Czerwieńskie². Grody były ważne, bo leżały na szlaku handlowym łączącym Ruś Kijowską z Krakowem i Pragą, tj. zachodem Europy. Grody Czerwieńskie w 1018 roku odebrał Rusi Bolesław Chrobry, ale kilkanaście lat później Jarosław Mądry włączył je znowu do Rusi Kijowskiej. Pozostały one w państwie dynastii Rurykowiczów aż do 1340 roku, kiedy Kazimierz Wielki, którego prababką była księżniczka ruska Agafia,

w oparciu o umowę sukcesyjną włączył je z powrotem do Królestwa Polskiego³.

Pozostawanie w granicach I i II RP, z uwzględnieniem okresu autonomii Galicji, było decydujące dla ukraińskiej tożsamości narodowej, rozwoju oświaty i działalności politycznej Ukraińców, którzy mieli swoich przedstawicieli w sejmie polskim. Po rozbiorach Rzeczypospolitej, po dwóch polskich powstaniach narodowych, w latach przed I wojną światową dwa narody bez państwa – Polacy i Ukraińcy – były zagrożone w swym istnieniu fizycznym i materialno-kulturowym przez carską Rosję.

Rok 1918 sytuację tę skrajnie zmienił. Walki o Lwów i Małopolskę Wschodnią przekreślały dyplomatyczne i zbrojne akcje galicyjskich Ukraińców o własne państwo. Wojna polsko-ukraińska zakończyła się wyparciem armii ukraińskiej za Zbrucz. Wojna z bolszewicką Rosją w 1920 r. zbliżyła oba narody – o wolności i niepodległości Ukrainy Naddnieprzańskiej miała rozstrzygnąć zwycięska wyprawa kijowska Piłsudskiego i Petlury, która rozpoczęła się 20 kwietnia 1920 roku. Szymon Petlura, główny ataman wojsk ukraińskich, wydał odezwę, oświadczając, że „pomiędzy rządami Republiki Ukraińskiej i Polskiej nastąpiło zgodne porozumienie, na którego podstawie wojska polskie wkroczą wraz ukraińskimi na teren Ukrainy jako sojusznicy przeciw wspólnemu wrogowi, a po skończonej wojnie z bolszewikami wojska polskie wrócą do swojej ojczyzny”⁴. Obok Polaków walczyli Ukraińcy: Siczowa Dywizja Strzelców płk. Marka Bezruczki, dwie Dywizje Strzelców płk. Aleksandra Udowyczenki, oddziały gen. Mykoły Pawlenki. Formacje te, chociaż ilościowo

¹ Kubijowyc V., Rusdnycki Stepan: *Encyclopedia of Ukraine*, Toronto 1993, t. IV s. 428.

² Sielicki F.: *Powieść minionych lat. Najstarsza Kronika Kijowska*, Wrocław 2005 s. XLVIII.

³ Kuczyński S.: *Studia z dziejów Europy Wschodniej*, Warszawa 1965 s. 19 i n.

⁴ Dębski J.: *Pokój ryski. Wspomnienia, pertraktacje, tajne układy z Joffem. Listy*, Wrocław 1990, s. 19, reprint wydania z 1931 roku.



skromne – liczyły 556 oficerów, 3348 żołnierzy – uważane były za kadre. Liczono na ich rozbudowę i dzięki napływowi ochotników z zarządzanej przez Petlurę częściowej mobilizacji oddziały ukraińskie przekroczyły liczbę 20 tysięcy żołnierzy⁵. 7 maja 1920 roku Polacy zajęli prawie bez walki Kijów. Kontrofensywa bolszewików spowodowała wycofanie się oddziałów polskich i ukraińskich i na początku lipca 1920 roku armia konna Tuchaczewskiego przekroczyła Bug. Piękną kartę we wspólnych walkach polsko-ukraińskich z bolszewicką Rosją zapisała 6. Dywizja Siczowa płk. Bezruczki, która walczyła na Lubelszczyźnie, gdzie płk Bezruczko znakomicie dowodził polsko-ukraińską obroną Zamościa⁶. Decydująca zwycięska bitwa 15 sierpnia pod Warszawą, klęski bolszewików nad Niemnem i rozbięcie konnej armii Budionnego spowodowały rozpoczęcie pertraktacji pokojowych polsko-sowieckich. Zawarcie pokoju w Rydze podpisanego 18 marca 1921 roku było przegraną koncepcji federacyjnej Piłsudskiego i Petlury, którego Ukraińcy galicyjscy krytykowali za to, że w układzie sojuszniczym wyrzekł się Gali-

cji wschodniej i zachodniej części Wołynia⁷. Celem Piłsudskiego i Petlury było oderwanie Ukrainy od Rosji, powstanie niepodległej Ukrainy i Białorusi jako państw buforowych, oddzielających Polskę od Rosji. Chociaż traktat ryski zgodny był z wymogami prawa międzynarodowego, to podpisanie go przez delegację polską z delegacją rosyjską, która występowała w imieniu Ukraińskiej i Białoruskiej Republiki Radzieckiej, było pogwałceniem sojuszu Piłsudski-Petlura zawartego w kwietniu 1921 roku. Internowane w Polsce rozbrojone oddziały Petlury ulokowano w kilku obozach. Do największego, w Szczypiornie, 15 maja 1921 roku przyjechał Piłsudski, powitany uroczystie przez gen. Bezruczkę. Powiedział wówczas: „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam”⁸. Drugiej wyprawy kijowskiej, która by mogła zrealizować federacyjne plany Piłsudskiego i wygrać niepodległość Ukrainy, nie było.

Dzisiaj Ukraińcy walczący bohatersko z brutalną inwazją rosyjską mają kłopoty – zwłaszcza ci „zachodni” – z ciężkim bagażem swojej historii. Chodzi o ocenę moralną i polityczną dramatycznych wydarzeń lat

⁵ Pobóg-Malinowski W.: *Najnowsza historia polityczna Polski*, Londyn 1961, t. 2, s. 415.

⁶ Pobóg-Malinowski W.: *iw.*, s. 523.

⁷ Friszke A.: *Ukraińskie tradycje polityczne*, [w:] *Więź* 1991, nr 11–12, s. 16.

⁸ Pobóg-Malinowski W.: *iw.*, s. 554.

1941–47 na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej. Kiedy patriotyzm zostaje zawłaszczony przez radykalny nacjonalizm, może prowadzić do zbrodni. Ideową poprzedniczką OUN (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów) była OWO (Ukraińska Wojskowa Organizacja), która dokonała nieudanego zamachu 25 września 1921 roku we Lwowie na Józefa Piłsudskiego. Jego sprawcami byli student Stepan Fedyk i Andrej Melnyk. Trzy lata później, 15 września 1924 roku, we Lwowie miał miejsce drugi nieudany zamach OWO na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Wśród uczestników byli Teofil Olszański, syn grekokatolickiego księdza, oraz Stepan Bandera⁹. Ofiarami OWO byli również Ukraińcy, którzy współpracowali w sferze edukacji i kultury z Polakami. Należy do nich profesor Sydor Twerdochlib, pisarz, tłumacz poezji Szewczenki na język niemiecki i Słowackiego na ukraiński, redaktor czasopisma „Rudyj Kraj”, kandydat na posła w wyborach do sejmu polskiego. Zamordowany został 16 listopada 1922 we Lwowie. W lutym 1929 roku na kongresie ukraińskich organizacji nacjonalistycznych w Wiedniu OWO weszło w ramy powstałej wtedy OUN, w której główne decyzje podejmowali Eugeniusz Konowalec i Stepan Bandera, zastrzelony został we Lwowie Iwan Babij, dyrektor państwowego Akademickiego Gimnazjum Ukraińskiego, które cieszyło się wysokim poziomem nauczania. Młodzi w OUN zarzucali Babijowi ugodowość i brak akceptacji dla nacjonalizmu.

Dzisiaj tuż przy granicy z Polską toczy się barbarzyńska putinowska wojna na Ukrainie, której koniec i wyniki są trudne do przewidzenia. Wspieramy bohaterskie walki Ukraińców, otworzyliśmy swoje domy i serca dla ukraińskich matek i dzieci, ale nie można w naszych wzajemnych relacjach dyplomatycznych, a także debacie publicznej „schować” problemu Wołynia i Małopolski Wschodniej. W sprawie OUN UPa nie ma dwóch racji, tylko jedna prawda daje nadzieję, że uniknie się błędów przeszłości, bo Ukraina i Polska to wspólnota interesów narodowych chroniących oba państwa przed odwieczną imperialną polityką Rosji.

Pojednanie oprócz korzyści utylityrnych ma zawsze wymiar moralny, bo trzeba wzajemnie wybaczać sobie winy.

Nie brakuje w polskiej i ukraińskiej pamięci historycznej patronów pojednania. W II RP był nim stanisławowski biskup grekokatolicki Grzegorz Chomyszyn. Jego zdaniem harmonijne łączenie chrześcijańskiej tradycji wschodniej z łacińskim katolicyzmem było niezbędnym warunkiem rozwoju wiary katolickiej wśród Ukraińców. Oskarżany był o latynizację Cerkwii Unickiej, potępiał ostro radykalny nacjonalizm ukraiński. Chomyszyn był patriotą, domagał się poszanowania dumy narodowej Ukraińców i ich praw jako mniejszości narodowej, ale również lojalności wobec państwa polskiego, bez którego groziło jego rodakom sąsiedztwo komunistycznej Rosji. Dał temu wyraz w swoim liście pasterskim w 1931 roku, stwierdzając, że gdyby doszło do tego, że pewnego dnia Polacy „[...] zabierają się stąd i zostawiają nas samych. I cóż wtedy z nami się dzieje? Za kilka dni zza Zbrucz przychodzą chmary bolszewików, którzy zamkną nasze cerkwie, [...] duchowieństwo i inteligencję w części wystrzelają, w części wyślą na Wyspy Sołowieckie, a sam lud pognąbnią, zabiją w nim, co ludzkie”¹⁰.

Biskup Chomyszyn został aresztowany w kwietniu 1945 roku przez NKWD i osadzony w więzieniu Łukianowskim we Lwowie. Zmarł tam po ciężkim „karnym” procesie 15 grudnia tego samego roku. Miejsce pochówku jest nieznane. Beatyfikowany został przez Jana Pawła II w 2001 roku we Lwowie. Sejm polski w uchwale z marca 2017 stwierdził, że postać błogosławionego biskupa powinna stać się symbolem polsko-ukraińskiego pojednania opartego na historycznym i duchowym dziedzictwie obu narodów.



Biskup Grzegorz Chomyszyn,
źródło: Wikipedia

⁹ Dziemiańczuk W.: *Wybaczyć nie znaczy zapomnieć*, Toronto 1996, s. 98–99.

¹⁰ Cywiński B.: *Korzenie tożsamości. Z dziejów najnowszych Kościoła Katolickiego w Europie środkowo-wschodniej*, Rzym 1982, s.123.

Z Markiem A. Koprowskim

rozmawia Janusz M. Paluch

Mieszkaś na skraju miasta, gdzie cisza i spokój... Od lat jednak, jako pisarz, zajmujesz się tematyką choć historyczną, to hłaśliwą i spędzającą sen z powiek, bardzo trudną i – szczególnie dla Polaków – bolesną... Ludobójstwo Polaków na Ukrainie w czasie II wojny światowej. To przecież jak praca chirurga na wciąż otwartej ranie i często bez znieczulenia... Jak sobie z tym radziś przez lata, słuchając relacji ocalonych, czytając raporty z setek, tysięcy miejsc zbrodni na Polakach...

Tak jak każdy uczciwy człowiek, nie jestem w stanie traktować tych spraw obojętnie. Każde spotkanie z ocalałymi pozostawia ślad w słuchaczu, którym jestem. Trudno obojętnie traktować relacje człowieka, który jako szesnastoletni chłopak widział, jak jego matkę ukraińscy zbrodniarze rżnęli piłą do drewna! A pracując nad tekstem, słuchając nagranej relacji tego człowieka, po raz kolejny przeżywam jego tragedię. Oczywiście trzeba sobie z tym jakoś radzić, bo inaczej można by zwariować... W każdym razie uważam, że tych bolesnych spraw nie wolno omijać ani o nich zapominać, bo na tym korzystają tylko zbrodniarze i ich sukcesorzy, chodzący w aureoli bohaterów narodowych. W swojej działalności pisarskiej i dziennikarskiej, bo pracą publicystyczną nadal się także zajmuję, postanowiłem, że będę się starał głosić tych, którzy przeżyli zbrodnie ukraińskie, dokonane przez nacjonalistów z OUN-UPA, a raczej na ich wezwanie i pod ich nadzorem, nieść dalej. Właściwie są to głosy tych, którzy byli bestialsko przez Ukraińców mordowani... Opowiadał mi kiedyś jeden już stary Ukrainiec, uczciwy człowiek, bo rozumiejący bestialstwo tego, co zrobiono Polakom. Gdy jego ziomkowie mordowali w sąsiedniej wsi Polaków, to słyszał ich przeraźliwy skowyt, który trwał dotąd, aż nie został zarżnięty ostatni Polak. Mówił mi, że wciąż słyszy ten przeraźliwy jęk co wieczór, gdy zapada zmrok. Był wtedy dzieckiem i bardzo to przeżył. Ten skowyt

mordowanych nie powinien umilknąć, musi być wciąż słyszalny. „Jeśli zapomnę o Nich – ty Boże na niebie zapomnij o mnie!” – nie na darmo krzyczał w *Dziadach* Adam Mickiewicz... Robię więc wszystko, by ich głos był obecny. Każdy, kto sięgnie po moje książki o tematyce ukraińskiej, może się o tym przekonać.

Przypomnij swą pierwszą podróż reporterską i pierwszy tekst związany z Kresami.

Pierwszą podróż na Kresy odbyłem w 1988 roku na Białoruś. Pracowałem wtedy w tygodniku Stowarzyszenia PAX „Katolik”. Istniał jeszcze padający Związek Radziecki, ale było widać, że era komunizmu zbliża się ku końcowi. By w tamtych czasach przekroczyć granicę wschodnią, wystarczyło mieć w paszporcie stempel AB... Ktoś pamięta jeszcze te procedury? Z kolegą z Białej Podlaskiej, który był wtedy szefem Oddziału Stowarzyszenia PAX, Szczepanem Kalinowskim, jego służbowym samochodem w październiku 1988 roku wyruszyliśmy do Brześcia. Później co miesiąc jechaliśmy, obierając za cel kolejną miejscowość. Wtedy pojechaliśmy też na Litwę, która dramatycznie zaczęła wybijać się na niepodległość.



Zdjęcie z lat czterdziestych. Ojciec Serafin w Korcu z trzema dziewczynkami, które przystąpiły do I Komunii

Plonem tamtych wypraw była książka *Białoruś. Uparte trwanie polskości*. A swój pierwszy reportaż z Kresów poświęciłem odradzaniu się społeczności polskiej i Kościoła rzymskokatolickiego w Brześciu.

Pamiętasz, jak żyło się wtedy Polakom na Kresach?

Polakom żyło się wtedy źle. Poza Republiką Litewską, gdzie na Wileńszczyźnie tworzyli zwarte skupisko, a w samym Wilnie mieszkało ich ponad sto tysięcy i mieli oni polskie szkoły, a także zespoły folklorystyczne, teatr amatorski itp., to w innych republikach ZSRR mieli bardzo ograniczone możliwości pielęgnowania tożsamości narodowej. Tylko we Lwowie istniały dwie polskie szkoły, i to w zasadzie wszystko. Żadnych form organizacyjnych Polacy w ZSRR nie mieli. Najgorzej było na Białorusi, bo tam Polacy nie mieli żadnych form pielęgnowania swojej tożsamości narodowej, mimo iż było ich tam najwięcej. Na Grodzieńszczyźnie stanowili połowę ludności tworzącej zwarte skupisko, przylegające do granicy z Polską i Litwą. Nawet obecnie mówi się nieoficjalnie, że na Białorusi mieszka około miliona Polaków, czy może raczej osób o polskich korzeniach. Jeżdżąc po Grodzieńszczyźnie na przełomie lat 80. i 90., spotykało się jeszcze chutory czy wioski, w których żyli sami Polacy. Staralem się dociec, jak to się stało, że przetrwali, że ich nie wysiedlono do Polski itp. Bardzo szybko zorientowałem się, że praktycznie każda z polskich rodzin ma krewnych, i to bliskich, w Polsce. Okazało się, że po 1945 r., gdy przesiedlano, czy jak kto woli – ekspatriowano tutejszych Polaków, to rodziny, zwłaszcza wielodzietne, rzadko wyjeżdżały w komplecie. Jeżeli w rodzinie było trzech braci, to dwóch wyjeżdżało do Polski, a jeden, często z rodzicami lub częściej dziadkami, zostawał na miejscu, by pilnować swojego gospodarstwa. Wszyscy wyjeżdżający na Ziemię Odzyskaną zakładali bowiem, że ich pobyt tam nie będzie trwał. Liczyli, że kiedyś wrócą. Historia jed-



Zdjęcie z lat pięćdziesiątych o. Kaszuba z dziećmi pierwszokomunijnymi w Korcu

nak tak się potoczyła, że nie wrócili. Aż do początku lat sześćdziesiątych ci, którzy pozostali na ojcowiznie, musieli pracować w kołchozach, z których nie wolno im było wyjechać. Nie mieli paszportów. Jeżeli oni lub ich dzieci chcieli opuścić miejscowość, mogli wyjechać tylko na sztandarowe budowy komunizmu, gdzie brakowało rąk do pracy. Spotykałem bardzo wiele skupisk tych pochodzących z Białorusi Polaków na całym obszarze Rosji od Kaliningradu po Władywostok. Ci, których spotkałem, byli z reguły już dziećmi tych, którzy wyjechali w latach pięćdziesiątych, chociaż jednego czerstwego staruszka, liczącego 103 lata, spotkałem także w Tambowie. Mieli oni poczucie, że są Polakami, choć formalnie w statystykach narodowościowych zapisani byli jako Białorusini, bo tylko jako Białorusini ich przodkowie mogli wyjechać z Białorusi i porzucić kołchoz. W każdym razie ci Polacy, którzy zdecydowali się wyjechać do Rosji, starali się zawsze do czegoś dojść. Byli kierownikami, dyrektorami, oficerami w wojsku, nauczycielami, naukowcami. Wielu to się udało. Oczywiście nie wszyscy Polacy żyli w rodzinach czysto polskich, ale w mieszanych, lecz świadomość swych korzeni zachowali. W Moskwie spotkałem np. potomków autora wiersza *Kto ty jesteś – Polak mały* Władysława Bełzy. Mocno wrosli oni w tamtejszą intelektualną twórczą elitę rosyjskiej stolicy. Takie przykłady można by mnożyć! Białoruskie Kresy karmiły i nasycaly Polakami cały

ZSRR. Ukraińskie też, ale nie te sięgające do Zbrucz, które zostały oczyszczone przez repatriację i ukraińskie mordy, tylko te dalsze w rejonie Szarogrodu, Murafy, Gródka Podolskiego, Chmielnickiego czy okolic tzw. Marchlewszczyzny, czyli dawnego rejonu autonomicznego. Polakom na Kresach żyło się generalnie nie najgorzej od strony rzecz biorąc ekonomicznej. Brakowało im jednak możliwości pielęgnowania tożsamości narodowej. Nie mogli oficjalnie występować jako polska mniejszość. Władze nie ukrywały, że dążą do ich całkowitego wynarodowienia i asymilacji. Dopiero gorbaczowowska pierestrojka zaczęła zmieniać ten stan rzeczy.

To był też czas powstawania różnych polskich stowarzyszeń na Kresach. W Kijowie powstała nawet Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie. I oczywiście prasa w języku polskim.

Wszelkie stowarzyszenia, skupiające Polaków na Kresach, były i są potrzebne. Bez nich proces odradzania narodowego Polaków nie nabrałby takiego tempa i takich rozmiarów. Największy sukces odniósł niewątpliwie Związek Polaków na Litwie, który twardo bronił i broni praw polskiej mniejszości na Litwie. Gdyby nie on, to polskiej mniejszości na Litwie już by nie było. Zostałaby przez Litwinów wynarodowiona. Jeśli chodzi o Federację Organizacji Polskich na Ukrainie, to jej powstanie, jak mi się wydaje, było koniecznością służącą zintegrowaniu działania różnych niewielkich organizacji polskich, które powstawały na Ukrainie. Federacja miała też służyć dla nich jako pomost do łączności z krajem, przekazywania ich postulatów do Warszawy, itp. Federacja miała też występować wobec władz ukraińskich w ich imieniu. Polskiej prasie na Kresach generalnie brakuje środków i dziennikarzy. Może ukazywać się tylko dzięki wsparciu z kraju. To jednak wiąże się z pewnym uzależnieniem, co negatywnie przekłada się na treść. Czytając niektóre tytuły, odnoszę wrażenie, że są one redagowane z myślą o czytelnikach w kraju, a nie na Kresach.

Kresy to wielonarodowość i wielowyznaniowość. O Lwowie mówi się, że był przykładem wielowyznaniowości, wszak oprócz trzech katedr – rzymskokatolickiej, grekokatolickiej i ormiańskiej, były świątynie żydow-

skie... Chciałbym nawiązać do przypadku braci Szeptyckich, którym poświęciłeś sporo miejsca w swych książkach... Ocenisz Szeptyckich?

Kwestia rodziny Szeptyckich jest dość złożona. Takich rodzin na całych Kresach nie tylko ukraińskich, ale i białoruskich czy litewskich było więcej. Często bywało tak, że jeden brat wybierał opcję polską, drugi litewską, a trzeci białoruską. Z Szeptyckim było podobnie. Jan Kanty Szeptycki, polski właściciel ziemski, wywodził się ze starego ruskiego rodu. Jego przodkami byli m.in. Atanazy i Ludwik Szeptyccy, ruscy metropolici kijowscy w XVIII w. Rodzina Szeptyckich była spokrewniona z Wiśniowieckimi i Ledóchowskimi. W końcu XIX w. rodzina Szeptyckich była jednak uważana za polską rodzinę hrabiowską. Ojciec braci Szeptyckich, Piotr Paweł Leopold Szeptycki z Przyłbic, ożenił się z córką polskiego komediopisarza Aleksandra Fredry Zofią, z którą miał siedmiu synów. Dwaj zmarli w dzieciństwie. Z pozostałych dwaj zostali ziemianami, byli to: Aleksander Maria Dominik Szeptycki i Leon Józef Maria Szeptycki. Kolejny – Stanisław Maria Jan Szeptycki wybrał karierę wojskowego, dochodząc do stopnia generała w armii austro-węgierskiej i w Wojsku Polskim. Cała ta trójka, podobnie jak rodzice, uważała się za Polaków i byli wyznania rzymskokatolickiego. Dwaj bracia natomiast zostali zakonnikami. Roman Aleksander Maria porzucił świeckie życie i wstąpił do klasztoru bazylianów w Dobromilu koło Sambora, przyjmując imię zakonne Andrej, co było równoznaczne z przyjęciem opcji ukraińskiej. Podobnie uczynił Kazimierz Maria Szeptycki, który porzucił tradycję łańską i wstąpił do zakonu studytów, przyjmując imię Klemens, deklarując się po stronie Kościoła grekokatolickiego, w którym w tym czasie jego brat Andrej bardzo dynamicznie i skutecznie sprawował najwyższe stanowisko. Bracia rzecz jasna się wspierali. Andrej został metropolitą galicyjsko-lwowskim w wieku zaledwie 35 lat. Z jego awansem więcej nadziei wiązali Polacy niż Ukraińcy. W polskich środowiskach ziemiańsko-konserwatywnych liczono na jego pochodzenie społeczne i polski rodowód, dające pewną gwarancję zachowania dominacji politycznej i ekonomicznej tych warstw oświeconych w Galicji. Koła wiedeńskie uważały

Szeptyckiego za lojalistę, dwukrotnie został odznaczony przez rząd austriacki, był członkiem wiedeńskiej Izby Panów, a także tajnym radcą dworu. Pełnił też funkcję wicemarszałka galicyjskiego Sejmu Krajowego. Wiedeń liczył, że Szeptycki, stawszy się duchowym przywódcą Ukraińców, pomoże mu spacyfikować emancypacyjne dążenia Ukraińców i opanować rodzący się ukraiński ruch nacjonalistyczny. Sami Ukraińcy przyjmowali Szeptyckiego niechętnie, a nawet wrogo. Ukraińscy „narodowcy” na każdym kroku wytykali mu polskie arystokratyczne pochodzenie. Redaktor „Dila” ks. Cehelśkyj pisał o Szeptyckim te słowa: „Przed nami czużeniec, nadęty tradycjami wallenrodyzmu, człowiek wrogiej nam społeczności, który wdarł się na ruski metropolitalny tron chyba tylko po to, żeby wewnątrz samej ruskiej społeczności zaszczerpić truciznę rozdarcia, osłabić jego odporną siłę wobec wrogiego narodu”.

Andrzej Szeptycki, podobnie jak jego brat, zwiódł wszystkich. Z tym że Ukraińców w pozytywnym sensie. Nie spełnił nadziei Polaków i Wiednia, ale zaskoczył ich całkowicie, stając się wybitnym ukraińskim patriotą, ojcem duchowym i największym autorytetem moralnym dla ukraińskich separatystów. Gdy Polska wybijała się na niepodległość, na każdym kroku manifestował swą ukraińskość i opowiadał się za budowaniem niezależnego państwa ukraińskiego. Orędowną za tym bardzo gorliwie, nie ukrywając, że stanowi to jeden z jego celów życia. Jego brat – Klemens Szeptycki – wiernie mu sekundował. Polacy byli tym całkowicie zaskoczeni. Odbierali bowiem działania rodziny Szeptyckich przez pryzmat postępowania generała Stanisława Szeptyckiego, wielkiego polskiego patrioty. Myślę, że osoby bardziej zainteresowane Szeptyckimi powinny sięgnąć po moją książkę *Narodziny Ukraińskiego Nacjonalizmu. Bandera, Szeptycki, OUN*, a także do dwóch następnych tomów tej trylogii.



Zdjęcie z tego okresu. Ojciec Serafin z całą swoją korzecką trzódką, która po wojnie nie wyjechała do Polski

Ich lektura pozwoli czytelnikom na własną ocenę Szeptyckich. Zawarte w niej dokumenty, listy pasterskie, a także materiały operacyjne sowieckich służb specjalnych znakomicie im to ułatwią.

Skupmy się na Kościele rzymskokatolickim na Kresach. Gdyby nie Polacy żyjący na Kresach, Kościół raczej by nie przetrwał... I vice versa... Dzięki Kościołowi, jego kapłanom działającym z wielkim oddaniem za czasów ZSRR na Kresach, przetrwała polskość. Czy to twierdzenie jest uzasadnione?

Jak najbardziej jest uzasadnione. Bez Kościoła rzymskokatolickiego, a raczej nielicznych księży rzymskokatolickich, którzy zdecydowali się pozostać na Kresach, narażając się na sowieckie represje. Bez nich nie byłoby Kościoła, czy raczej kilkunastu parafii na Ukrainie, głównie tej leżącej za dawną polską granicą. Powstały one w miejscowościach, a raczej w rejonach, w których Polacy stanowili jeżeli nie większość, to znaczny odsetek mieszkańców, i twarzo domagali się otwarcia zamkniętych kościołów. Sami księża bez wiernych nic by nie zrobili. Oni praktycznie nie mieli żadnych praw. Gospodarzem parafii zawsze formalnie był Komitet Kościelny. Ksiądz był tylko Sługą Kultu. Kościół, w którym księża używali języka polskiego, pielęgnował też wśród wiernych poczucie polskości. Przypominał im, że są Polakami. Bez parafii rzymskokatolickich wszyscy byłiby szybko wynarodowieni. Podobna sytuacja jak na Ukrainie byłaby na Białorusi, zwłaszcza na Grodzieńszczyźnie i na Pińszczyźnie. Księża katolicy działali



Zdjęcie z lat sześćdziesiątych ks. Kaszuba z parafianami w Korcu

też na obszarze dzisiejszej Rosji, Kazachstanu i innych krajów Azji Średniej i Kaukazu. Ich najbardziej znanym przedstawicielem jest związany także z Krakowem błogosławiony ks. Władysław Bukowiński, „Apostoł Kazachstanu”. Głęboko wierzę, że to właśnie on zaprosił mnie na kresowe szlaki. Nigdy go nie poznałem osobiście. Jeszcze na studiach przeczytałem jego wspomnienia wydane na powielaczu, poza cenzurą. Zafascynowała mnie jego postać. Wtedy jednak nawet nie przypuszczałem, że kiedykolwiek trafię na wytyczone przez niego duszpasterskie szlaki. Wielokrotnie byłem w Łucku i w Kazachstanie, z którym tak bardzo był związany. W 1999 r. w Karagandzie chodziłem po jego śladach, rozmawiałem z ludźmi, którzy go znali, a także z tymi, których ochrzcił. Byłem też na jego grobie – zmarł 3 grudnia 1974 roku w szpitalu w Karagandzie – na cmentarzu poza Karagandą. Dzisiaj jego szczątki przeniesione w latach 90. XX w. spoczywają w krypcie katedry Matki Bożej Fatimskiej Matki Wszystkich Narodów w Karagandzie. Uroczyscie zostały złożone w specjalnej krypcie 9 września 2016 roku. Na południu Kazachstanu spotkałem starszego pana Franciszka Paluszkiewicza, który jako chłopak wioził na furze ks. Bukowińskiego do swojej miejscowości, do Żanaszaru, w której mieszkało wielu Polaków. W Kazachstanie wędrowałem też śladami innych wielkich apostołów tej ziemi, m.in. o. Serafina Kaszuby i ks. Józefa Kuczyńskiego. Poświęciłem im i innym księżom, którzy

posługiwali wiernym, książkę *Przez stepy Kazachstanu*. Ślady działalności ojca Kaszuby spotkałem też na Dalekim Wschodzie Rosji. W Nachodce, portowym mieście nad Morzem Wschodniochińskim, spotkałem należąca do tamtejszej – tworzącej się wówczas parafii kobietę, którą ochrzcił o. Kaszuba. Sporo śladów działalności pozostawił również na Wołyniu, między innymi w Ostrogu, gdzie

miał jedną ze swoich baz duszpasterskich. W Korcu, niedaleko od Ostroga, spotkałem rodzinę, w której mieszkaniu zatrzymywał się w swych duszpasterskich wędrówkach o. Serafin. Właściciel tego domu Franciszek Zubrzycki, rostry mężczyzna, był jednym z ochroniarzy o. Serafina. Wychodził zawsze po niego na przystanek autobusowy, gdzie witał o. Kaszubę i prowadził go do swojej chałupy. Wraz z nim przychodzili też inni mężczyźni. Wspólnie strzegli o. Kaszubę przed napadem „nieznanych sprawców”. Ojciec Kaszuba przyjeżdżał, o czym trzeba pamiętać, nielegalnie. Komunistyczne władze zapewne wiedziały, kiedy przyjeżdża, i by go do tego zniechęcić mogły nakazać pobicie go. Ojciec Kaszuba jako wędrowny i „nielegalny” apostoł, miał zadanie najtrudniejsze. Łatwiej było księżom pracującym za dawną polską granicą, w legalnie zarejestrowanych parafiach. Nie było ich wiele, ale stanowiły znaczące ośrodki ogromnie zasłużone dla Kościoła rzymskokatolickiego i polskości na Kresach. Wystarczy wspomnieć parafie w Murafie, Żytomierzu, Barze, Szarogrodzie, Miastkówce, Greczanach, Gródku, Wierzbowcu i Strudze. Posługiwali w nich wybitni kapłani, którzy bez reszty poświęcili się Chrystusowi, wiernym i Polsce. Wystarczy wspomnieć tu o takich postaciach, jak księża: Andrzej Gładysiewicz, Antoni Chomiccki, Jan Olszański, Jan Cieński, Rafał Kiernicki czy Władysław Wanags. Mógłbym o nich długo opowiadać. Poświęciłem im trzy książki: *Kresy we krwi*, *Plugiem i mieczem* i *Śmierć*

za *Sienkiewicza*. Osoby zainteresowane ich działalnością zachęcam do sięgnięcia po te książki.

W latach 90. XX wieku sytuacja Kościoła rzymskokatolickiego zmieniła się diametralnie. Wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II odbyta w dniach 23–27 czerwca 2001 roku umocniła pozycję Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie.

Wiele sobie po tej wizycie obiecywali Polacy, a jeszcze więcej Ukraińcy... Podczas uroczystych mszy świętych odprawionych na lwowskim hipodromie w rytmie rzymskokatolickim beatyfikował ks. abp. metropolitę lwowskiego Józefa Bilczewskiego, a w obrządku grekokatolickim beatyfikował 27 nowomęczenników i s. Michalinę Jozafatę Hordaszewską. Myślę, że trzeba poważnie zastanowić się nad przyszłością Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie i jego relacji z polskością. Staram się o tym pisać przy każdej okazji. Ze smutkiem trzeba skonstatować, że o ile Kościół rzymskokatolicki przetrwał na Wschodzie dzięki Polakom i na odwrót, to obecnie, eliminując język polski z liturgii i nauczania, przyczynia się do likwidacji polskość, do ukrainizacji i białorusyzacji polskiej mniejszości. Ten problem dostrzegł, ostatni już wywodzący się z sowieckich czasów, ks. Martynian Darzycki, bernardyn, dzięki któremu odrodził się na Ukrainie zakon franciszkanów. Opowiadał mi zmarły niedawno ks. prof. Roman Dzwonkowski, że przed wizytą św. Jana Pawła II w Polsce, kiedy miał spotkać się w Dukli z bernardynami, przyjechał



Franciszek Zubrzycki z Korca; to on był jednym z ochroniarzy o. Serafina, gdy przyjeżdżał do miasta nad Korczykiem

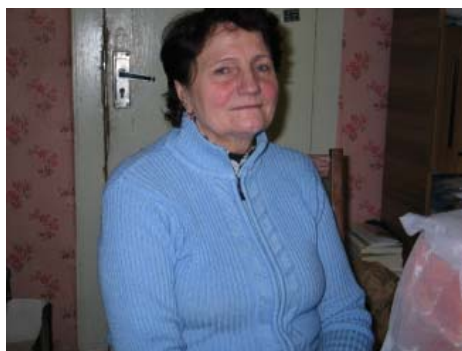
do niego do Lublina ks. Darzycki. Ukłękł przed nim i błagał, by ten skreślił list do papieża, w którym napisze m.in., jak jego współpracownicy niszczą język polski w Kościele, a tym samym Polaków na Ukrainie. Profesor Dzwonkowski, który doskonale znał sytuację Polaków na Wschodzie, bo się tym profesjonalnie zajmował, ten list oczywiście napisał, a o. Darzycki, klęcząc przed papieżem, ze łzami w oczach mu wręczył. Jan Paweł II list przyjął, ale dało to niewiele. Praktycznie nic! Starzy współpracownicy księży, takich jak m.in. o. Darzycki, zaczęli ze zgrozą konstatować, że jeżeli chcą, by ich wnuki zostali Polakami, powinny trzymać się z daleka od Kościoła katolickiego! Polacy zaczęli walczyć ze swymi proboszczami, chcąc wymusić na nich zachowanie w kościołach miejsca dla Polaków. Jedną z takich osób, które dobrze znałem, była Irena Sandecka z Krzemieńca.

Nie ukrywam, że ja też miałem do niej wielki sentyment. Ty jednak poświęciłeś Jej osobną książkę *Od Humania do Krzemieńca: Irena Sandecka*.

Pani Irena była osobą ze wszech miar na to zasługującą. Zmarła w 2010 roku. Jej życie



Irena Sandecka, Krzemieniec



Ludmila Poliszczuk, ochrzczona w Ostrogu przez o. Serafina Kaszubę. W domu jej rodziców o. Serafin zawsze nocował, gdy przyjeżdżał do tego miasteczka

i działalność to piękny przykład kresowego patriotyzmu, wierności Rzeczypospolitej i polskości. To, że polskość i parafia rzymskokatolicka w Krzemieńcu przetrwały, to jej zasługa. Tego nikt nie jest w stanie zakwestionować! Choć i dzisiaj są osoby, które wciąż chcą pomniejszyć jej rolę w tym patriotycznym dziele, traktować jako „starą wariatkę”, nierozumiejącą nowych czasów. Ona, podobnie jak wielu innych Polaków jej klasy, nie tylko z Ukrainy, ale też z Białorusi i Litwy, liczyli, że po rozpadzie Związku Radzieckiego Kresy wrócą do Polski. Zegary w ich domach wskazywały czas, jaki jest w Polsce, a nie w pierwszej strefie czasowej ZSRR. Ich marzenie się nie spełniło... Miejscowe władze ukraińskie nie cierpiały pani Ireny nie dlatego, że była symbolem trwania polskości w Krzemieńcu. Nie znosiły jej, ponieważ stale przypominała o zbrodniach Ukraińców popełnionych na Polakach w czasie II wojny światowej, czego była naczynym świadkiem. Uczestniczyła też w ratowaniu ofiar ukraińskiego terroru. Z jednej z wioszek wyprowadziła Polaków pod eskortą niemieckich oddziałów, a z Krzemieńca wywiozła do Krakowa kilkadziesiąt dzieci, których rodzice zostali zamordowani przez Ukraińców. Gdy na jej liczącym 200 lat domu, w którym mieszkał słynny profesor Liceum Krzemienieckiego Wilibald Besser, światowej sławy botanik, miano umieścić pamiątkową tablicę, władze ukraińskie wpadły w duże zakłopotanie. Jak umieszczać na ścianie dworku pamiątkową tablicę, jeżeli mieszka w nim stara Sandecka, która

wciąż „szczeka” o zbrodniach na Polakach popełnionych przez Ukraińców?!

Dotykając tych bolesnych spraw, chciałbym cię zapytać o naszych księży męczenników, którzy często przy ołtarzu zostali zamordowani przez ukraińskich zbrodniarzy.

Sprawa jest podnoszona głównie przez środowiska wygnańców wołyńskich, którzy zdołali ująć przed nożami i toporami zbrodniarzy. Kościół rzymskokatolicki stara się zamieść sprawę pod dywan. Czeką, aż opadną emocje, aż sprawa się wyciszy itp. Doskonale ją zna i Episkopat Ukrainy, i Episkopat Polski, do którego należy zajęcie się sprawą. Wie o niej też i Stolica Apostolska. Na Ukrainie jest przecież Nuncjusz Apostolski, bardzo dobrze zorientowany we wszystkich sprawach. Wiedział o nich także św. Jan Paweł II, nie podnosił jej, bo nie chciał zadrażniać relacji polsko-ukraińskich. Beatyfikacja polskich męczenników osłabiłaby bowiem wydzwięk beatyfikacji męczenników ukraińskich. Wynikałoby z niej bowiem, że Ukraińcy byli nie tylko męczennikami, ale także oprawcami. Jan Paweł II bardzo naiwnie ocenił relacje polsko-ukraińskie, mimo że jego przyjaciel kardynał Marian Jaworski bardzo trzeźwo postrzegał sytuację Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie, a także związanej z nim polskiej mniejszości. Trzeba sprawę księży męczenników podnosić i modlić się, by nie została zapomniana i rozmyta.

Wołyń dla twojej pisarskiej twórczości jest miejscem szczególnie ważnym. Dokonałeś opisu i analizy zbrodni ludobójstwa na bezbronnej ludności polskiej. Z perspektywy kilkunastu lat rodzi się pytanie, czy rzeczywiście do tego musiało dojść? Wyrzynanie polskich wsi odbywało się w czasie okupacji niemieckiej, kiedy Ukraińcy mieli świadomość, że Niemcy nie obdarują ich niezależną państwowością. Nie mogli się też tego spodziewać po nadchodzącej armii rosyjskiej, która podczas pierwszej okupacji w 1939 roku też nie stworzyła niepodległej ukraińskiej państwowości.

Wiele razy na ten temat rozmawiałem z prof. Władysławem Filarem, uczestnikiem tamtych wydarzeń, który analizował bardzo dokładnie przebieg wołyńskiej tragedii. Zdaniem profesora Wołyń jako miejsce wszczęcia ukraińskiego powstania, które teoretycznie miało podjąć walkę z Niemcami,

a sprowadziło się do ludobójstwa Polaków, został wybrany nieprzypadkowo. Pierwotnie miało ono wybuchnąć w Małopolsce Wschodniej, w mateczniku ukraińskich nacjonalistów, gdzie mieli największe wpływy. Obawiali się jednak, że w tym miejscu Niemcy bardzo szybko je stłumią. Nacjoniści doskonale zapamiętali lekcję, jaką udzielili banderowcom Niemcy w 1941 r. Gdy ci zaczęli mordować sprzyjającymi im nacjonalistów z odłamu Melnyka, natychmiast przystąpili do zdecydowanej kontrakcji. Aresztowali 2000 banderowców i ich najwyczejniej rozstrzelali. Hitler kazał szefowi SD „zrobić porządek z tą bandą”. Małopolska Wschodnia została też przez Niemców przyłączona do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie Niemcy czuli się gospodarzami. Było tam sporo miast i miasteczek, ważnych szlaków komunikacyjnych i niemieckich garnizonów. W Małopolsce Wschodniej liczna była też mniejszość polska. W niektórych gminach czy nawet powiatach dominowała, co automatycznie rzutowało na możliwości polskiej samoobrony. Na Wołyniu sytuacja była diametralnie inna i dawała nacjonalistom ukraińskim określone możliwości. Przede wszystkim społeczność polska była nieliczna. Stanowiła około 15% całej ludności. Po represjach sowieckich, czyli wywózkach na Wschód, ludność polska była też osłabiona. Przywódcy lokalnych społeczności zostali deportowani do Kazachstanu lub na daleką Północ. Sowietci przywieźli wszystkich znanych im oficerów rezerwy i wszystkich członków konspiracji ZWZ, którą Komenda Główna w Warszawie usiłowała stworzyć na Wołyniu. W sumie w ich łapy wpadło około 2000 osób, które mogłyby zaangażować się w podziemie. Sowietci przywieźli z Wołynia praktycznie całą najbardziej patriotyczny polski element! Niemcy z kolei całą swoją władzę na Wołyniu oparli na Ukraińcach, tworząc ukraińską policję pomocniczą i ukraińską administrację terenową. Sami obsadzili tylko duże miasta i linie komunikacyjne. W terenie władzę mógł brać, kto chciał. W praktyce sprawowała ją Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, która zaczęła tworzyć na Wołyniu totalitarne państwo podziemne. Na Wołyn z Małopolski Wschodniej przybyło też około 1000 agitatorów, którzy zaczęli podsycać, zgodnie z ideologią OUN, antypolskie nastroje. Posługiwali się różnymi

hasłami, z których jedno głosiło, że „Ukraina nie będzie wolna, dopóki pozostanie na niej choć jedna polska noga”. Polskie podziemie nie miało z ukraińskim większych szans. Ukraińska policja pomocnicza i Kryminalna Policja złożona także z Ukraińców, często tych, którzy przed wojną pracowali w policji państwowej, zwalczała polską konspirację bezlitośnie. We wsiach mieszanych, w których mieszkało choćby tylko kilku Ukraińców, wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Nic się ukryć na dłuższą metę nie dało. Donosicielstwo ukraińskie było prawdziwą plagą. Jeżeli gdzieś w nocy zbierali się Polacy, to następnego dnia mogli być pewni wizyty ukraińskiej policji. Podkreślić też trzeba, że ukraińska policja penetrowała szczególnie gospodarstwa, w których podejrzewała, że Polacy ukrywali broń. Z bronią na Wołyniu generalnie był kłopot. Jej brak hamował rozwój oddziałów ZWZ-AK. Do konspiracji przyjmowano tych, którzy zdobyli ją sami na własną rękę. Niektórzy historycy lansują tezę, że Komenda Główna AK nie chciała dać broni na Wołyn. To nonsens! KG AK w Warszawie nie miała żadnych magazynów broni i nie miała, co dać. Wołyn musiał radzić sobie sam. W okresie lipcowych rzezi w 1943 r. oddziały zbrojne AK były dopiero tworzone i nie były w stanie przeciwstawić się ukraińskiemu uderzeniu. Kiedy jednak trochę okrzepli, zatrzymały ukraińską ofensywę. W grudniu, gdy UPA planowała uderzenie na miasta, odparły ją i przeszły do zdecydowanej kontrofensywy. Gdy powstała formalnie 27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK, ludność polska była w miarę bezpieczna.

Ale 27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK została z Wołynia wycofana, pozostawiając ludność polską bezbronną – twierdzi Zychowicz.

Analiza mojego kolegi Zychowicza nie jest do końca trafna. 27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK nie została z Wołynia wycofana, ale zmuszona do tego przez Niemców. Gdyby jej dowództwo podjęło inną decyzję, zostałaby unicestwiona przez niemieckie zagony pancerne. Wcześniej, wraz z oddziałami Armii Czerwonej, uczestniczyła w tzw. operacji kowelskiej i wraz z nimi musiała się przebijać na północ do Lasów Szackich, przechodząc przez ruchliwą linię kolejową. Tam też nie mogła zagrzać długo miejsca i musiała się wycofywać dalej. Trzeba też



Przy tym ołtarzyku w Korcu o. Serafin odprawiał msze św. Państwo Zubrzyccy zachowali go jako największą relikwię. Obok ołtarzyka ks. Waldemar Szlachta, obecny proboszcz parafii w Korcu

pamiętać, że z punktu widzenia ochrony ludności polskiej nie miało to już większego znaczenia. Zdecydowana większość Wołynia była już zajęta przez Armię Czerwoną. Wszelkie podziemne oddziały zbrojne, a nawet oddziały samoobrony musiały zdać broń i się ujawnić lub narażały się na likwidację i represję. Dla ochrony ludności polskiej sowieci tworzyli *istriebitielnyje bataliony*, do których werbowali głównie polską młodzież w wieku od 16 do 18 lat. Starsi dostawali powołania do tworzonego Wojska Polskiego, głównie do ośrodków mobilizacyjnych w Sumach i Riazaniu. AK na pewno Wołynia nie zdradziła i nie porzuciła. Z honorem i godnością spełniła swoje zadanie. W najbliższym czasie ukażą się dwa tomy mojej pracy zatytułowanej *Zapomniani bohaterowie*, z podtytułem *AK nie zdradziła Wołynia*. Wszyscy, których nurtują problemy wywołane przez mojego szacownego kolegę, znajdą w nich odpowiedź na wszystkie te pytania.

Ostatnie książki poświęciłeś OUN/UPA, jej ideologom oraz krwawej działalności do momentu całkowitej likwidacji po II wojnie światowej. Dlaczego tyle pracy włożyłeś w ten właśnie temat?

Nie tylko ideologom, ale zbrodniarzom wywodzącym się z tej formacji, którzy dokonywali zbrodni ludobójstwa na narodzie polskim, czyli na Polakach mieszkających na Wołyniu, w Małopolsce Wschodniej, Chełmszczyźnie, Podlasiu, Nadsaniu i Łemkowszczyźnie. W Polsce pojawili się autorzy, którzy zaczęli ich nazywać party-

zantami, a UPA taką ukraińską AK, z którą trzeba się porozumieć, bo oni walczyli z sowietami. Takie podejście oburzało środowisko weteranów polskiej konspiracji, które obawiało się, że tysiące Polaków, którzy padli ofiarą ukraińskiego ludobójstwa, zostanie zapomnianych i złożonych na ołtarzu dobrych stosunków z Ukrainą. Niektórzy z tych, którzy bronili Polaków przed ukraińskim ludobójstwem, zaczęli się obawiać, że to oni zaczną być teraz nazywani zbrodniarzami.

Na Ukrainie pojawiło się całe grono ukraińskich historyków fałszujących historię, twierdzących, że to nie Ukraińcy mordowali Polaków na Wołyniu, ale odwrotnie. Sztandarową postacią tej grupy jest niejaki Wołodmyr Serhijczuk, prof. Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki. Postanowiłem więc napisać trylogię, która pokaże historię ukraińskiego nacjonalizmu od narodzin aż do jego końca. Przypominam w niej, że ukraiński nacjonalizm, stworzony w Małopolsce Wschodniej, miał zawsze przede wszystkim antypolski charakter. Dla osiągnięcia swych celów ukraińscy nacjonałiści byli gotowi sprzymierzać się z każdym, w tym również z Hitlerem. Nie wolno o tym zapominać.

Czy te książki są równie popularne wśród czytelników?

Ostatnia moja książka *Śmierć banderowcom. Krwawa rozprawa z OUN-UPA* w konkursie „Historia zebrana”, organizowanym przez portale: granice.pl i Histmag.org, została przez internautów wybrana w swojej kategorii „Najlepszą książką historyczną roku 2021”. Jest to trzecia część mojej pracy, poświęconej historii ukraińskiego nacjonalizmu. Pierwsza jest zatytułowana *Narodziny ukraińskiego nacjonalizmu*, a druga *Rzeźnicy z OUN-UPA*. Dopiero lektura trzech tomów tej pracy daje pełny obraz ukraińskiego nacjonalizmu. Zapraszam wszystkich do ich czytania.

Dziękując za rozmowę, zachęcam Państwa do lektury książek Marka A. Koprowskiego.

Pasterze niezłomni

Losy kapłanów archidiecezji lwowskiej w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu

Polaków zamieszkujących tereny Kresów Południowo-Wschodnich II RP (co nie jest oczywiście tożsame z pojęciem Kresów dawnej Rzeczypospolitej, sięgających znacznie dalej na wschód) można ze względu na ich losy podczas II wojny światowej i późniejsze podzielić na trzy grupy. Znaczna ich część nie przeżyła wojny, będąc ofiarami totalitaryzmów sowieckiego (od 17 września 1939 do czerwca 1941, a następnie od lata 1944, czyli podczas tzw. drugiej okupacji sowieckiej) i niemieckiego (1941–1944), a także działań ukraińskich nacjonalistów, spotęgowanych w 1943 roku (11 lipca 1943 to tzw. krwawa niedziela na Wołyniu). Przeważająca część tych, którzy przeżyli, opuściła zamieszkiwane od setek lat tereny, na mocy decyzji jałtańskich udając się na tzw. Ziemię Odzyskane (w wypadku ekspatriowanych z dawnych województw południowo-wschodnich – lwowskie, tarnopolskie, stanisławowskie – to przede wszystkim tereny Górnego i Dolnego Śląska oraz Ziemia Lubuska). Nieliczni zdecydowali się pozostać zarówno we Lwowie, jak i na prowincji, z wszystkimi konsekwencjami tego faktu, którymi były warunki życia w stalinowskim ZSRR, jako przymusowi jego obywatele (niektórzy z nich przybyli do Polski później, w latach tzw. odwilży po śmierci Stalina). Taki sam podział dotyczy kapłanów rzymskokatolickiej archidiecezji lwowskiej, praktycznie tożsamej z terenem Kresów Południowo-Wschodnich (jedynie południowo-wschodnia ich część należała do diecezji przemyskiej – okolice Sambora, Borysławia i Drohobycza). Niewielka tylko część archidiecezji przypadła po wojnie Polsce, z głównym ośrodkiem w Lubaczowie, gdzie znajdowała się siedziba administratury apostołskiej.

Po zmianach związanych z upadkiem ZSRR, gdy odnowiono archidiecezję lwowską, jej dawna część w granicach Polski

weszła w skład nowo powołanej diecezji zamojsko-lubaczowskiej, należącej do archidiecezji przemyskiej.

Pierwszą pozycją książkową poświęconą losom wojennym archidiecezji, jej kapłanów i wiernych była praca ks. bpa Wincentego Urbana, ówczesnego sufragana wrocławskiego, pod tytułem *Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej w latach II wojny światowej 1939–1945*. Ks. bp Wincenty Urban (1911–1983) wyświęcony na kapłana został w katedrze lwowskiej w 1936 roku przez arcybiskupa Bolesława Twardowskiego, pracował głównie w parafii Biłka Szlachecka, skąd został ekspatriowany poprzez diecezję przemyską na Dolny Śląsk. Aż do śmierci zajmował się pracą naukową (uzyskał stopień profesora zwyczajnego Akademii Teologii Katolickiej); pełnił także różne funkcje w administracji kościelnej Dolnego Śląska – od 1960 roku miał tytuł biskupa. Praca ks. bpa Urbana napisana w 1971 roku i wydana (teoretycznie) w 1983 roku, do rąk czytelników trafiła dopiero w roku 1991, staraniem Fundacji im. św. Andrzeja Boboli. W książce zostały przedstawione sylwetki kapłanów, poczynszyszy od abpa Twardowskiego, który zmarł jeszcze we Lwowie w roku 1944, i jego następcy abpa Eugeniusza Baziaka, któremu przypadł w udziale smutny los opuszczenia Lwowa – jako jednemu z ostatnich, w kwietniu 1946 roku – wraz z księżmi i wiernymi (osiadł w Lubaczowie, a potem w Krakowie). W pierwszej kolejności wymieniono kapłanów ekspatriowanych, przede wszystkim tych, którzy zajmowali się pracą naukową, jak sam autor, a także rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego ks. prof. dr Marian Rechowicz.

Tragiczne losy księży autor dzieli na zamordowanych (48), zmarłych w więzieniach (17) oraz zaginionych bez wieści (dalszych kilkunastu). Wśród zamordowanych warto wymienić ks. dra Władysława Komornickie-



Kościół pod wezwaniem MB Kochawirskiej w Gliwicach

go, który zginął jako jedna z ofiar zbrodni na profesorach lwowskich na Wzgórzach Wuleckich 4 lipca 1941 roku, a także ojca Ludwika Wrodarczyka (rodem z Radzionkowa, proboszcza parafii Okopy na Wołyniu), wobec którego jako jedyne go duchownego zamordowanego przez ukraińskich nacjonalistów toczy się proces beatyfikacyjny.

Zasadnicza część książki jest jednak poświęcona tragicznym losom wiernych (w podziale na dekanaty), z których większość zginęła z rąk nacjonalistów ukraińskich. Autor uznał za swój obowiązek dokumentację losów zarówno księży, jak i polskiej (bo w przeważającej większości wiernymi Kościoła rzymskokatolickiego na Kresach byli Polacy) ludności tych terenów w czasach, kiedy wydawało się, że sprawa ich tragedii ulega nieuchronnemu zapomnieniu. Czasy jednak się zmieniły i problem podjęty przez ks. bpa Urbana można było opracować dogłębnie w sposób stricte naukowy. Podjął się tego ks. Józef Krętosz wraz z prof. Marią Pawłowiczową (oboje już od kilku lat nieżyjący, bardzo zasłużeni dla tematyki kresowej) wraz z zespołem autorów hasań biograficznych, głównie osób duchownych. Powstał w ten sposób *Słownik biograficzny duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego ofiar II woj-*

ny światowej 1939–1945, wydany przez Wydawnictwo i drukarnię Świętego Krzyża w Opolu w 2007 roku.

Słownik obejmuje duchownych z metropolii (a nie tylko archidiecezji) lwowskiej, a więc także z diecezji przemyskiej i łuckiej (wołyńskiej) w podziale na księży diecezjalnych, zakonników, jak również kapelanów wojskowych. Autorzy doliczyli się ogółem 255 ofiar wśród nich, z czego 167 księży diecezjalnych, 59 zakonników oraz 29 kapelanów. Najwięcej księży straciła archidiecezja lwowska – 90, czyli ponad połowę stanu z 1939 roku (oraz 43 zakonników). Jeśli chodzi o sprawców ich śmierci, to niemal po równo byli nimi sowieci (75) i ukraińscy nacjonałiści (74), nieco mniej Niemcy (66). 32 duchownych straciło życie podczas działań frontowych, a 8 – w nieznanych okolicznościach.

Okoliczności śmierci kapłanów opisane w *Słowniku* stanowią przerażającą panoramę losów polskiej ludności Kresów, a zwłaszcza inteligencji, której byli oni przedstawicielami. Stosunkowo dobrze znana jest zbrodnia dokonana przez sowieców na 8 dominikanach czortkowskich; byli nimi przeor ojciec Justyn Spyrlak i towarzysze, zastrzeleni przez NKWD nad rzeką Seret w nocy z 1 na 2 lipca 1941 roku, a więc tuż przed wkroczeniem wojsk niemieckich. Pogrzebu doczekali się dopiero po upadku ZSRR, w 1991 roku, a w 2006 rozpoczęła się ich proces beatyfikacyjny jako męczenników za wiarę. Z kolei z rąk niemieckich kapłani ginęli w obozach koncentracyjnych, więzieniach, a także egzekucjach, jak w Czarnym Lesie koło Stanisławowa, gdzie zamordowano ponad 300 osób spośród polskiej inteligencji. Był wśród nich ks. Lucjan Tokarski, katecheta szkół stanisławowskich, wymieniony na tablicy pamiątkowej ustawionej tu po ustaleniu miejsca zbrodni w 1988 roku*.

* Zapewne chodzi o przytwierdzone do granitowego okręgu o średnicy 5 m kamienne płyty otaczające granitowy pomnik ufundowany w 2011 r. (70. rocznica mordu w Czarnym Lesie), po raz pierwszy z wyszczególnionymi nazwiskami ofiar. Z biegiem czasu napisy stawały się słabo czytelne i staraniem TKP „Przyjaźń” w Stanisławowie (opiekuna cmentarza w Czarnym Lesie) zostały wymienione, a napisy (nazwiska z uwzględnieniem tytułów naukowych i zawodowych) wygrawerowano laserem (przyj. Krystyna Stafińska).

Wielu kapłanów, szczególnie parafii wiejskich, straciło życie wskutek ludobójczej akcji ukraińskich nacjonalistów. Typowym przykładem może być los proboszcza parafii Bybło w woj. stanisławowskim, ks. Antoniego Wierzbowskiego. Wraz z miejscowym nauczycielem został on uprowadzony w dniu 12 X 1943 roku i zamordowany w pobliskim lesie, gdzie po kilku dniach znaleziono ciała obu ofiar.

Swego rodzaju uzupełnieniem *Słownika* jest opracowane przez siostrę Agnieszkę Michnę zestawienie pod tytułem *Siostry zakonne – ofiary zbrodni nacjonalistów ukraińskich na terenie metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego w latach 1939–1947* wydane przez IPN w 2010 roku. Autorka udokumentowała tam śmierć z rąk nacjonalistów 21 sióstr zakonnych.

Dla Polaków opuszczających Kresy zamknięcie kościołów i przymusowe wysiedlenie księży oraz zakonników było oznaką tego, że kończy się tutaj Polska. Jak pisał w swych *Notatkach lwowskich 1944–1946* profesor Ryszard Gansiniec w końcu maja 1946 roku: „Konieczność wyjazdu jest oczywista: 3 VI zamykają wszystkie kościoły, prócz jednej katedry, w niedzielę odbędzie się w innych ostatnie nabożeństwo: księża muszą wyjechać. Głowa mnie boli od tego wszystkiego; leżałem po powrocie z pracy, od jutra zabiorę się do pakowania...”. Jak się okazało, zezwolono także na działalność kościoła św. Antoniego na Łyczakowie; generalnie jednak niemal wszystkie kościoły zostały zamknięte i przeznaczone na cele świeckie wyznaczone przez władzę sowiecką. Spośród księży pozostały nieliczne jednostki, które bez cienia wątpliwości możemy nazwać *pasterzami niezłomnymi*.

W wydanym w 2021 roku przez IPN *Słowniku inteligencji polskiej w ZSRR 1945–1991. Zostali na Wschodzie* (tom I) pod redakcją naukową Adama Hlebowicza znajdujemy sylwetki niektórych spośród nich, choć oczywiście nie wszystkich. Nie ma tu (z pewnością znajdują się w następnym tomie!) tak ważnych duszpasterzy, jak franciszkanin o. Rafał Kiernicki, późniejszy biskup, żołnierz AK i więzień łagrów, w latach 1949–1958 i 1965 aż do śmierci w 1995 roku proboszcz parafii katedralnej, czy też Serafin Kaszuba – Czcigodny Sługa Boży, zakonnik, kapucyn, nazywany Włóczęgą

Bożym, przemierzał w ZSRR wbrew szykanom i panującemu tam terrorowi tysiące kilometrów, docierając z posługą kapłańską do odległych zakątków rozległego imperium – zmarł w 1977 roku.

Jest natomiast w *Słowniku* biografia ks. Henryka Mosinga, doktora medycyny, który działał jako tajny kapłan katolicki. Był uczniem prof. Rudolfa Weigla, po którym przejął kierowanie jego laboratorium produkującym szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. W roli badacza tyfusu plamistego działał w czasach ZSRR, przyczyniając się do zlikwidowania epidemii tej choroby na Ukrainie. Myślał jednocześnie o kapłaństwie i w 1961 roku otrzymał święcenia z rąk kardynała Stefana Wyszyńskiego w podwarszawskich Laskach. Odtąd łączył pracę lekarza z potajmną działalnością duszpasterską, także poza Lwowem; podróżował nie tylko po Podolu, gdzie pełnił tajną posługę w soboty i niedziele, również po rozległych terenach ówczesnego ZSRR. Prowadził także Instytut Pomocników Kościoła pw. św. Wawrzyńca, rodzaj tajnego seminarium duchownego. Zmarł w 1999 roku; jego postać jest znana i otoczona szacunkiem zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie (np. w Zielonej Górze działa Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. Księdza Doktora Mosinga).

Innym kapłanem godnym przypomnienia jest ks. Bronisław Mirecki, działający pod koniec życia w Hałuszczycach na Podolu, gdzie zmarł i został pochowany w 1986 r. Jego siostrą była, niedawno zmarła, znana działaczka narodowa, po wojnie na emigracji w USA Maria Mirecka Loryś. W czasie wojny pracował jako proboszcz parafii w Podwołoczyskach nad Zbruczem; mimo zagrożenia ze strony nacjonalistów ukraińskich i szykan władzy sowieckiej postanowił pozostać na swojej parafii. Za swoją niepokorną postawę został pozbawiony prawa wykonywania posługi religijnej na przeszło 15 lat – w tym czasie wykonywał ją w sposób tajny, ale dzięki pomocy wiernych nigdy nie został schwytyany podczas sprawowania sakramentów. Obsługiwał jednocześnie nawet 15 parafii na Podolu, ze swoją posługą dotarł nawet do Moskwy. Dopiero w 1974 roku otrzymał zgodę na prowadzenie parafii w Hałuszczycach, przez kilka lat będąc jedynym kapłanem rzymskokatolickim w obwodzie tarnopolskim.



Cmentarz Mater Dolorosa w Bytomiu,
grób ks. Kobierzyckiego

Od czasu swojej beatyfikacji w 2016 roku postacią szerzej znaną w Polsce stał się ks. Władysław Bukowiński, urodzony w Żytomierzu, w czasie wojny proboszcz katedry w Łucku. Cudem uniknął śmierci z rąk NKWD w sierpniu 1941 roku. Aresztowany ponownie w 1945 roku wraz z innymi księżmi, przez 10 lat przebywał w różnych obozach pracy, wciąż kontynuując potajemną postugę. Po zwolnieniu pracował jako stróż nocny, sprawując sakramenty w domach wiernych; ponownie skazany na 3 lata obozu pracy, łącznie przebywał w więzieniach i obozach 13 i pół roku. Mimo propozycji wyjazdu do Polski odmówił, argumentując, że jako kapłan jest bardziej potrzebny na Wschodzie. Od 1956 roku związał się z Karagandą w Kazachstanie, gdzie pracował mimo zrujnowanego w sowieckich łagrach zdrowia; zmarł w 1974 roku. W 1984 roku znalazł ostateczne miejsce spoczynku przy kościele św. Józefa w Karagandzie.

Exodus ludności Kresów na zachód, czyli na propagandowo tak nazywane Ziemie Odzyskane, trwał przez kilka lat z głównym natężeniem w latach 1945–1947. Repatrianci (nazwa również propagandowa, dziś określamy ich jako ekspatriantów, czyli nie powracających, tylko usuniętych z Ojczyzny) zwłaszcza pochodzący z terenów wiejskich, osiedlali się zazwyczaj w grupach wywodzących się z tej samej lub kilku pobliskich miejscowości. Więź ich łącząca była też więzią parafialną – nie mogąc zabrać ze sobą kościoła i cmentarza jako symbol tej więzi zabierali obraz lokalnej Madony, której depozytariuszem był proboszcz parafii

(ewentualnie wspólnota zakonna). Przykład tego rodzaju działaniom dał wspomniany arcybiskup Eugeniusz Baziak, zabierając ze sobą obraz Matki Boskiej Łaskawej z katedry lwowskiej. Okoliczności wywiezienia tego obrazu – w tajemnicy przed władzą sowiecką – oraz jego dalsze losy mogą być tematem filmu sensacyjnego; wspomnieć w tym miejscu można jedynie, że obraz dziś znajdujący się w ołtarzu głównym katedry jest kopią ukoronowaną przez Jana Pawła II podczas pielgrzymki do Lwowa w 2001 roku, a oryginał obrazu znajduje się w Skarbcu Katedralnym na Wawelu. Na terenie Górnego Śląska przykładem takiego obrazu, czczonego powszechnie przez kilka wieków, jest obraz Matki Boskiej z Kochawiny, zwanej Matką Dobrej Drogi. W roku 1931 opiekę nad sanktuarium w Kochawinie i obrazem przejęli jezuiti, którzy zabrali go ze sobą do Polski w nowych granicach. Ostatecznie znalazł się w Gliwicach, najpierw w parafii św. Bartłomieja, a następnie w nowej parafii i sanktuarium w Gliwicach na Osiedlu Kopernika. Do dziś pojawiają się tu osoby (lub ich potomkowie) wspominające sanktuarium w Kochawinie i pielgrzymki do niego, nawet z dalekich stron. Tradycję tych pielgrzymek ojcowie jezuiti kontynuują w drugą niedzielę maja.

Kapłani rzymskokatolicki, którzy przeżyli wojnę na Kresach i nie zdecydowali się na pozostanie na nich pod sowieckimi rządami, na ogół osiedlili się – tak jak ich parafianie – na ziemiach włączonych do Polski jako „rekompensata” za utracone tereny na wschodzie. W ostatnim czasie zyskaliśmy znakomite źródło do poznania ich biografii dzięki benedyktyńskiej pracy ks. Mariusza Leszczyńskiego, biskupa pomocniczego diecezji zamojsko-lubaczowskiej, wydanej przez IPN w roku 2020 pod tytułem *Księża diecezjalni ekspatrianci archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego. Słownik biograficzny*. Autor zawarł tu 636 biogramów kapłanów, począwszy od arcybiskupa Eugeniusza Baziaka. Obok kapłanów stosunkowo dobrze znanych na naszym terenie (jak ks. Michał Rękas, twórca lwowskiego Apostolstwa Chorych, które prowadził po wojnie w Katowicach) znajdziemy tu tych, o których pamięć niemal całkowicie zaginęła. Dla przykładu – ze *Słownika* dowiedziałem się o ks. Alfredzie Dobieckim, który w listo-

padzie 1918 roku pełnił posługę kapelana w szpitalu dla rannych w walkach w budynku Politechniki. O jego postawie w tym czasie niewiele wiemy, ale świadczyć o niej mogą odznaczenia: Krzyż Walecznych oraz dwukrotnie Krzyż Obrony Lwowa. Działał też aktywnie na polu charytatywnym podczas II wojny światowej. Po niej osiadł w klasztorze ojców bonifratrów najpierw w Krakowie, a potem w Katowicach-Bogucicach, gdzie zmarł w 1951 roku i został pochowany na cmentarzu zakonnym we wspólnym grobie bonifratrów (być może jego postać zostanie upamiętniona na skutek pisma, które skierowałem w tej sprawie do Oddziału IPN i władz miasta Katowic).

Księża z Kresów najczęściej pełnili posługę w parafiach, które opuścili poprzedni mieszkańcy i ich niemieccy duszpasterze. Pracowali też w szkołach – dopóki dozwolona tam była katecheza, szpitalach jako kapelani, w seminariach duchownych i urzędach kurialnych. Takim kapłanem był do dziś pamiętany w Bytomiu ks. Emil Kobierzycki, urodzony w 1892 roku we Lwowie. W latach 1937–1944 był proboszczem i dziekanem dekanatu Brody. Po wojnie znalazł się na Śląsku i pracował w administracji apostołskiej w Opolu; był m.in. referentem do spraw repatriantów.

Wobec usunięcia przez władze ks. Bolesława Kominka z funkcji administratora apostołskiego w Opolu zastępował go jako „wikariusz kapitulny”, a od 1958 do śmierci w 1963 roku był proboszczem parafii Trójcy Świętej w Bytomiu (został pochowany na cmentarzu Mater Dolorosa).



W Zabrzcu z kolei, na cmentarzu parafii św. Anny, znajdziemy pochówki kapłanów z Kresów. Najbardziej reprezentacyjny z nich jest nagrobek ks. Adolfa Podoleckiego. W 1926 roku uzyskał on stopień doktora teologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza; podczas okupacji niemieckiej brał udział w tajnym nauczaniu we Lwowie. Po ekspatriacji znalazł się w Zabrzcu; był katechetą, a następnie kapłanem Państwowego Szpitala Klinicznego. Zmarł w 1962 roku. Nie wszystkich tych kapłanów można nazwać niezłomnymi; czasy stalinowskie, a wcześniej ciężkie przeżycia wojenne spowodowały u niektórych konformizm wobec władz. Jeden z księży gliwickich na przykład (nazwiska nie przytoczę) przystąpił do tzw. ruchu księży patriotów i został w dowód zaufania radnym miejskim.

Warto natomiast wymienić ciekawy przypadek księdza Walentego Opalińskiego. W młodości, jako student Politechniki Lwowskiej, przybył na Górny Śląsk i został adiutantem w 4. Gliwicko-Toszeckim Pułku Piechoty im. Stefana Batorego. Ponownie znalazł się tu jako kapłan w 1945 roku; niestety, w 1957 uległ wypadkowi i przeszedł w stan spoczynku, który przebył w rodzinnych stronach koło Rzeszowa.

Nieubłagany wpływ czasu spowodował, że nikt z wymienionych w artykule, a także w przywołanych słownikach biograficznych już nie żyje. Ich miejsca pochówku bywają nieznane, jak w wypadku większości zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich, zapomniane lub niemal zapomniane, w niektórych tylko przypadkach otoczone należną opieką i szacunkiem. Warto o nich jednak pamiętać; stanowią dowód na ścisły związek Kościoła katolickiego i jego kapłanów z historią naszego narodu.

Fot. Antoni Wilgusiewicz



Cmentarz parafialny św. Anny w Zabrzcu, grób ks. Podoleckiego

Aleksandra Solarewicz

Sercem z nami*

**Wielkopoleanie wobec Kresów
wschodnich po I wojnie światowej
we wspomnieniach Barbary
z Surzyńskich Zakrzewskiej
(1922–2015)**

Po zakończeniu okupacji pruskiej Wielkopoleanie odkryli na drugim końcu kraju ziemie piękne i nie do końca poznane oraz mieszkańców przyjaznych, gościnnych i... muzycznych. Dzięki zakątki, wspaniałe zabytki robiły na nich duże wrażenie. Kresowianie z kolei chętnie wędrowali na zachodnie rubieże. Poznaniacy szybko obdarzyli ich sympatią – wspomina Barbara z Surzyńskich Zakrzewska, córka ostatniego wicemarszałka Sejmu II RP.

Barbara z Surzyńskich była polonistką, telegrafistką AK, a po wojnie cichą kronikarką historii rodziny, Wielkopolski i wrocławskiego osiedla Oporów, zwanego osiedlem profesorskim (zamieszkało na nim po wojnie wielu polskich naukowców). Tam nagrywała swoje wspomnienia i tam mieszkała do śmierci.

Urodziła się i do 17 roku życia wychowywała w Poznaniu, gdzie mieścił się dom rodzinny. Dom o tradycjach muzycznych: Surzyńscy są zasłużonym rodem wielkopolskim, z którego wywodzą się kompozytorzy, organiści i nauczyciele muzyki. Ojciec Basii, dr Leon Surzyński (1891–1967) stanowił przedtawiał sobą oryginalny przykład: artysta, ale lekarz, Wielkopoleanin, ale piśsudczyk. Sympatię do myśli Marszałka wyniósł z czasów młodości, gdy jako student medycyny na uniwersytetach pruskich spotykał Polaków z Kresów wschodnich. Jego ojciec Piotr (1859–1935) – działacz narodowy, to z kolei organista, dyrygent chórów i pedagog. Podobnie jak stryjowie, z których dwóch było związanych ze Lwowem, oraz inni krewni, których z różnych powodów los rzucił do Wilna, Lwowa i Tarnopola.

WŚRÓD CIEKAWYCH ZNAJOMYCH

Dom w Poznaniu często gościł artystów, lekarzy, społeczników i polityków. Basia obra-

cała się w kręgach kulturalnych, chłonąc wiadomości z dziejów rodziny i Polski. Mawiała potem, jak jej matka Helena z Kaniewskich (1897–1975): „W życiu warto mieć ciekawe znajomości. Na nieciekawe szkoda czasu”. Miała ku temu wszelkie podstawy: genialną pamięć do szczegółów, zmysł obserwacyjny i ogromny talent dyplomatyczny. O swojej rodzinie i jej licznych znajomych mogła mówić bez końca. II wojnę światową przeżyła w Częstochowie, na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, gdzie spotkała uciekinierów spod bolszewickiej okupacji. Po wojnie wyszła za polonistę Bogdana Zakrzewskiego (1917–2011), który przeszedł do historii literatury jako związany z Uniwersytetem Wrocławskim profesor i badacz twórczości Aleksandra Fredry. On przywiózł do Wrocławia relikwię – palec Hrabiego, wmurowaną potem w ścianę kościoła św. Maurycego. Jeździł na Kresy, pisał o nich i opowiadał żonie, która dokładnie rejestrowała w pamięci relacje. Tak więc zarówno żona, jak i mąż, Wielkopoleanie, przez całe życie zwracali swoje oczy ku Kresom.

„ONI NIE MÓWIĄ, ONI ŚPIEWAJĄ”

Po I wojnie do Wielkopolski przyjechało bardzo dużo osób ze wschodniej Rzeczypospolitej. Znajdowali tu pracę na przykład jako nauczyciele. Byli bardzo potrzebni w tej części kraju tak mocno germanizowanej i pozbawionej – jako jedyny zabór – uczelni wyższej. Wielkopolska była zamożniejsza i bardziej uprzemysłowiona, to przyciągało. Spotkać kresowianina nie było trudno. Stanowili w oczach Wielkopolan zjawisko oryginalne i ciekawe. O takim spotkaniu w Inowrocławiu, gdzie mieszkali dziadek Piotr i babcia Stanisława Surzyńscy, opowiadała pani Barbara ze śmiechem.

A było to tak. Piotr Surzyński mówił, jako Wielkopoleanin, piękną polszczyzną, zresztą tak jak i babcia. W ich domu zwracano się na to wyjątkową uwagę. Lwowianie, według niego, mówili poprawnie, ale jako muzyka bardzo go cieszył śpiewny, melodyjny ton mowy. I zawsze mówił w domu: „Ci lwowiaczy to po prostu wszyscy są muzkalni! Oni nie mówią. Wiecie co? Oni śpiewają”. Kiedyś Piotr Surzyński wracał z pracy (był nauczycielem w szkole muzycznej) i zaczepiła go jakaś pani, która pytała o drogę... W domu relacjonował żonie: „Wiesz, Staszko, była bardzo elegancka, młoda, przystojna. Ale jak ona się zachowała w stosunku do mnie, również starszego,

eleganckiego pana????” A Piotr Surzyński miał taką manierę, że gdy kogoś opisywał, jakąś osobę, to również mówił, jak ona wyglądała oraz jak wyglądał on sam: „I wiesz co, Staszko? Ja, starszy pan, w idenowskim kapeluszu, z laską czarną ze srebrną gałką, z monogramem na tej gałce... A ona mówi do mnie tak: – Szanowny paaanie! Gdzie tu dupapieeerni? – Ja zdębiałem. Elegancka pani... żeby tak się do mnie odezwać???”. Rzeczywiście. W normalnej polskiej, spokojnej mowie znaczyło to: „Gdzie tutaj droga wiedzie do papierni?”. Bo na inowrocławskim rynku był taki sklep, który sprzedawał wszystkie rzeczy dotyczące papieru: a więc opakowania, koperty, listy itd., zeszyty. I tej pani chodziło właśnie o to, gdzie jest droga do papierni. Połączyła te słowa szybko, i jeszcze do tego ten zaśpiew... i słuchowo wyszło to bardzo brzydko. Stanisława Surzyńska wysłuchiwała męża i spokojnie rzekła: „No to teraz się naucz w tę mowę nową wsłuchiwać. Przecież muzykalny jesteś. Przeszkody nie ma. Podobają mi się ten język. Teraz w Inowrocławiu, gdzie się tylko idzie, wkoło wszędzie ten śpiew słyszę”.

UCIECZKA PRZED REWOLUCJĄ

Ale mniej znana, pierwsza fala przybyszów kresowych to byli uciekinierzy przed rewolucją 1917 roku, a potem wojną polsko-bolszewicką. Pani Barbara nie mogła pamiętać tego okresu, bo, jak wiadomo, urodziła się w roku 1922, ale doskonale rejestrowała wspomnienia rodziców i łączyła je ze swoimi wczesnymi obserwacjami. Wiedziała na przykład, że z dalekich stron przybył znajomy ojca, profesor Henryk Ułaszyn (1874–1956). Był on sławistą, od 1921 roku profesorem Uniwersytetu Poznańskiego, gdzie wykładał gramatykę historyczną, historię języka polskiego i język starocerkiewnosłowiański. „Był to człowiek niesłychanie inteligentny, mądry i wszechstronnie wykształcony” – podkreślała. Prof. Ułaszyn pochodził spod Kijowa, z zamożnej rodziny, jego rodzice mieli tam duży majątek. Studia skończył na Ukrainie, pracował, ale w czasie rewolucji bolszewickiej stracił wszystko. Tak jak stał, uciekł jako jeden z nielicznych ze swojej rodziny. Po tułaczce trafił do Poznania i potem został pro-

fesorem tego uniwersytetu. Takich jak on było więcej. Na przykład stryj Mieczysław.

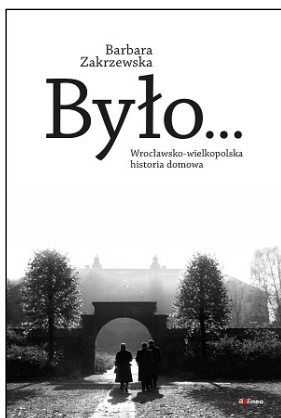
„PIERWSZE WIDMO BOLSZEWIZMU W NASZYM DOMU”

Z Kresami wschodnimi byli związani dwaj stryjowie Leona, a bracia Piotra Surzyńskiego. Z tych Mieczysław (1866–1924), kompozytor, który stworzył improwizację na tle pieśni *Święty Boże*. Stworzył ją w sali koncertowej, nie podstawie nut. Mieczysław wyemigrował z Wielkopolski, bo tam był taki ucisk zaborców wobec inteligencji, że nie było jak żyć i został profesorem konserwatorium w Saratowie, a potem Kijowie.

Pierwsze zetknięcie Basi Surzyńskiej z grozą bolszewizmu odbyło się właśnie z powodu osoby stryja Mieczysława. Rewolucja, pożoga, ucieczka. Mieczysław miał wspaniałą warsztat, ładną bibliotekę muzyczną i przede wszystkim świetne instrumenty. Wszystko stracił. Co najgorsze, stracił żonę i dwoje dzieci, którzy zmarli z głodu i tyfusu. Sam w stanie zupełnego wyczerpania uciekł do Polski. Wiedział, że bratanek Leon jest lekarzem, i przyjechał do niego z dwojgiem pozostałych dzieci. Opowiadał mu straszne rzeczy: jak go w Kijowie sowieci z mieszkania wyrzucali, jak okrutnie się z Polakami obchodzili. Obraz nędzy i rozpaczki! „Moja matka mówiła, że to nie do wyobrażenia! Był tak strasznie chudy, jak tu potem w Auschwitz ludzie byli. Ubranie to na nim wisiało. Dzieci wynędzniały... Bez ubrania, bez środków do życia – no po prostu nędza” – relacjonowała pani Zakrzewska. – „To było pierwsze widmo bolszewizmu tu, w moim domu rodzinnym” – kiwała głową (po latach, 17 września sama miała być świadkiem inwazji sowieckiej). Leon Surzyński wraz z kolegami lekarzami z czasem postawili stryja Mieczysława na nogi i stryj



Państwo Zakrzewscy w swoim wrocławskim domu, lata 90. XX wieku, fot. arch. rodzinne



mógł już dać duży koncert w auli Uniwersytetu Poznańskiego. Potem dostał nominację profesorską i pojechał do Warszawy, do konserwatorium, i był koncertmistrzem katedry św. Jana. Poważnie chory na serce, zmarł w 1924 roku. Jego grób znajduje się na Powązkach.

Kolejny brat Piotra, Stefan (1855–1919), był organistą i dyrektorem chóru katedralnego we Lwowie. Był autorem „Katechizmu

pierwszych zasad muzyki”, służącego uczniom szkół muzycznych i organistowskich. Została po nim córka, która śpiewała w Operze jako sopranistka – rodzina jeszcze po wojnie wysyłała jej paczki do Lwowa. Tam już została. Oboje pochowani są we Lwowie. Grób Mieczysława Surzyńskiego znajduje się na Łyczakowie. Jest nawet zdjęcie na Wikipedii. Na skraju pola, zardzewiały żelazny krzyż, u jego stóp metalowa tabliczka z zatartym napisem.

WDOWA TYTUŁOWANA

Okazją do spotkania kresowian były oczywiście wizyty lekarskie w domach. Leon Surzyński miał taki zwyczaj, że kiedy wracał z wizyt, często przy posiłkach opowiadał żonie, kim był ten pacjent i co mu było. Kiedyś przyszedł z wizyty rozbawiony: „Byłem u takiej wdowy, ona przyjechała gdzieś z okolic Lwowa”. A miał, podobnie jak jego ojciec, Piotr, wielką sympatię do lwowian. Mówił: „Oni nie mówią, oni śpiewają, a ponieważ muzykę kocham, to i ich kocham”. Już miał wejść do mieszkania wspomnianej wdowy, a tu na drzwiach wejściowych wizytówka. Całkiem duża, pięknie wydrukowana. Tam było imię, nazwisko tej pani, chorej. A pod spodem napisane: „Wdowa po maszyniście kolejki wąskotorowej”. Zastanawiał się potem: „Ci lwowiacy... Oni tak lubią te tytuły... To jest austriacki wpływ pewnie, bo my to tak niechętnie z nich korzystamy. Ale że ona nawet uwzględniła, że *wąskotorowej*? Może to dla niej było ważniejsze niż *szerokotorowa*??”. Bardzo go to ubawiło. Wiadomo, że maszynista przed wojną to był dobrze zarabiający pan, który był zdolny utrzymać całą rodzinę, a jego żona nie musiała pracować.

Pacjentka była już niestety wdową po takim jegomościu, ale na swoich drzwiach umieściła napis, żeby uczcić pamięć męża. „Co zauważyłem – podsumował doktor Surzyński – jaki był szacunek tej wdowy dla pozycji męża. A w związku z tym ta chwala i na nią spadła”.

DWIE STRONY WILEŃSZCZYZNY

Leon Surzyński, jak wspominała córka, miał ogromną wolę poznania Polski wschodniej. „To mu zostało po rozbiorach” – mówiła. W 1935 Surzyńscy wybrali się na wakacje do Wilna. „Wakacje wakacjami, ale ojciec był wymagający” – zauważyła pani Barbara. Przed każdą wyprawą w świat rodzice kupowali przewodniki i nakazane było dzieciom najpierw odczytanie się w historii i geografii. „Szczególnie, pamiętam, w Wilnie – mówiła – ojciec kazał mi przedtem poznać historię jakiegoś obiektu. A potem miałam sprawdzian w terenie: – Basiu, oprowadzisz nas i powiesz, coś wyczytała w książce, żebyś ty mogła być naszym przewodnikiem. – Tak że te podróże były zawsze profesjonalnie przygotowane, ja może byłam jedną z dziewcząt w klasie, które najlepiej znały Polskę” – opowiadała. Wileńszczyznę przemierzali całą samochodem wzdłuż i wszerz (auto mieli zawsze, prywatne lub służbowe ojca). Zrobiła na nich wielkie wrażenie, w Wielkopolsce nie było takich ostępów. „Ale nie było to zwiedzanie łatwe, bo najpierw jechaliśmy dobrą szosą Warszawa – Wilno, ale dalej drogi były dużo gorsze niż w Poznaniu, piachy wileńskie. Więc pamiętam, że w bagażniku zawsze była saperka i deska, żeby podłożyć pod koła i się nie zakopać” – wyjaśniała. W pamięć Basi zapadła nocna przygoda w puszczy, gdy koła samochodu wryły się w piasek i rodzinie groził nocleg w głuszy, pośród dzikich zwierząt. Uratował ich mieszkaniec pobliskiej wioski, dokąd ojciec pieszo udał się po pomoc.

Do Wilna pojechała znowu po II wojnie, gdy mąż miał wykłady dla przyszłych polonistów. „Dwa zupełnie różne miasta mi się wtedy ukazały” – podsumowała po latach. „Bardzo byłam wdzięczna ojcu, jako osoba dorosła, że mogłam poznać wschodnią Polskę, tereny, które potem utraciliśmy, bo nas to bardzo kulturowo wzbogaciło. Często po wojnie mówiłam moim dzieciom: – Jak to dobrze, że dziadek pilnował, żebyśmy poznały tę część Polski, bo teraz ona odpadła od Polski, a ja mam jakiś obraz tego kraju”.

ZOSTAŁY CUKIERKI OD ZALEWSKIEGO

Zdążyła odwiedzić też białoruskie strony. W sanatorium w Rabce poznała między innymi Anateę Lubomirską, którą odwiedziła w jej majątku pod Grodnem. „Ja tam, jako 16-letnia dziewczyna zrozumiałam los Polaków ze wschodu, nieustannie narażonych na utratę życia i mienia, w wyniku walk bratobójczych i z zaborcą” – opowiadała. Dowodem tych realiów był sam pałac, ale już w części zdewastowany. Jeszcze w 2015 roku pani Barbara przechowywała kartkę, którą jej przysłała Anatea.

I niestety! Basia nie zdążyła pojechać do Lwowa! Leon Surzyński, owszem, miał tam znajomych posłów, których odwiedzał z żoną. Byli kilkakrotnie, mieszkali w słynnym hotelu „George”. Przywozili dzieciom cukierki Zalewskiego. W 1937 mieli pojechać już całą rodziną. Już przewodniki przygotowane, już mieli jechać, ale wypadła jakaś podróż zagraniczna wicemarszałka, i nic z tego nie wyszło. Zostały cukierki Zalewskiego, które Basia i jej siostra Maryla (1925–2018) przynosiły na pikniki rodzinne. Lwów był daleko, ale blisko, pozostał obietnicą. „I dlatego ten Lwów, taki bliski geograficznie, a niezrealizowany, wszedł w moją krew i taki był dla mnie bliski” – kończy Barbara z Surzyńskich.

EPILOG. SALON LONDYŃSKI

Jak wielu polskich mężów stanu, po wybuchu II wojny wicemarszałek Surzyński znalazł się na emigracji. Po wojnie pozbawiony przez komunistów polskiego obywatelstwa, zamieszkał w Londynie. Przez długie lata nie mógł odwiedzić Polski. Żonę i dorosłe już córki zobaczył dopiero po Odwilży, po niemal dwudziestu latach.

W latach 60. udało mu się sprowadzić do Londynu żonę, na stałe. Córki odwiedzały ich za granicą, a Basia poznała w salonie rodziców, w Domu Polskim oraz w polskim domu opieki Antokol – wiele ciekawych osobistości. Wśród nich byli oczywiście kresowianie, w tym Sybiracy. Był wśród nich Melchior Wańkiewicz, była prof. Cezaria Jędrzejewiczowa – rektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, był ostatni polski prezydent Lwowa – Stanisław Ostrowski, lekarz i Sybirak. Dr Ostrowski często bywał na podwieczorku u Surzyńskich, był ulubionym gościem pani Heleny i wspominali oboje Lwów.

PALEC FREDRY

Bogdan Zakrzewski, jak już zostało wspomniane, badał twórczość Aleksandra Fredry i jeździł do Rudek. To dla kresowian był ciekawy temat! Tak w związku z tym wspominała Basia pobyt w Londynie: „Bogdan miał wtedy wykład w Domu Polskim. Był akurat po jego pobycie na Kresach, a przecież wielu londyńskich emigrantów stamtąd pochodziło. Ciekawiła ich podróż do Lwowa, do grobu Fredry. I bardzo czynny udział w dyskusji po wykładzie Bogdana brał znany historyk wojskowości, gen. Marian Kukiel. On dominował w tej dyskusji, zasypywał Bogdana pytaniami, cieszył się, że tyle wiadomości uzyskał bieżących, co się tam dzieje we Lwowskiem. Był tak spragniony wiadomości z Polski, a szczególnie Kresów”.

Pani Barbara – jak podkreślała – była Wielkopolką, wychowaną w duchu pracy u podstaw. Żywiła przy tym głęboki szacunek dla Kresów wschodnich i pochodzących stamtąd naukowców. We Wrocławiu spotykało ich się na przykład na osiedlowych uliczkach, wieczorami, gdy wychodzili na spacer z psem. Zapamiętała scenę w cieniu przykościelnych lip. Bogdan Zakrzewski spotkał tam mojego dziadka, który zagadnął go: „Wie pan, panie profesorze, ja chcę założyć oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa na Oporowie, bo tu jest bardzo dużo lwowian. Ale zapomniałem o panu, bo przecież pan jest lwowianinem!”. Na to prof. Zakrzewski, zaskoczony: „Panie profesorze! Ależ ja jestem rodowitym Wielkopolaninem, a interesuję się twórczością Fredry, i dlatego znam doskonale Ziemię Lwowską, wszystkie koneksje małżeńskie, kto z kim i jak. I dlatego jest mi ta ziemia bardzo bliska. Często jeżdżę w celach badawczych do Lwowa i do Rudek. I może z tych rozmów, może panu się zdawało, że ja jestem lwowiakiem”. Na to dziadek: „Nie tylko z tego! Ale pan nie ma takiej twardej mowy, pan mówi taką polszczyzną – nie powiedziałbym lwowską – ale nie wielkopolską. No i myślałem, że pan ze Lwowa”. Na to znowu prof. Zakrzewski: „Nie, proszę pana, ja jestem z urodzenia poznaniak. Pan mnie zaprasza do tego Towarzystwa. Chętnie bym do niego wstąpił, ale...”. „Ale pan jest sercem z nami!” – dokończył z przekonaniem dziadek. I tak to właśnie było.

* *Wspomnienia nagrałam, spisałam, a następnie zredagowałam. W ten sposób powstała książka: Barbara Zakrzewska, „Było... Wielkopolsko-wrocławska opowieść domowa”, Wrocław 2016.*

Paweł Brzegowy

Podróże prof. Emila Dunikowskiego

Urodzony 13 grudnia 1855 r. w podolskim Tustaniu (obecnie Тустань) Emil Habdank Dunikowski należy do grona najważniejszych polskich geologów działających we Lwowie doby austriackiej. Okres dzieciństwa i gimnazjum spędził w Brzeżanach (Бережани), gdzie rozbudziło się jego zainteresowanie naukami o Ziemi, wynikające z samodzielnego studiowania przyrody nieożywionej w dolinie lewego dopływu Dniestru – rzeki Złotej Lipy (Золота Липа) – i w najbliższych okolicach rodzinnego miasta. Przekonanie do zawodu geologa¹ – konsekwentnie podtrzymywane w latach późniejszych – objawiło się w klasie piątej. W związku z tym zakupił podręcznik specjalistyczny i odbywał wycieczki terenowe, obserwując uważnie zmieniający się, urozmaicony jarami, tamtejszy lesisty kraj – obraz. Studia wyższe odbywał w uniwersytetach w Wiedniu, we Lwowie i w Monachium. W latach 1877–1880 był asystentem w Katedrze Geologii i Mineralogii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, gdzie pracował pod kierunkiem ukraińsko-polskiego badacza Karpat prof. Juliana Niedźwieckiego (1845–1918), organizujące po dzień dzisiejszy Muzeum Geo-



logiczne. Od 1879 do 1881 r. był wolontariuszem w Państwowym Instytucie Geologicznym w Wiedniu. Z zamiarem pogłębienia wiedzy paleontologicznej pojechał następnie do Monachium na Uniwersytet Ludwika i Maksymiliana. Jednocześnie pracował tam w Muzeum Paleontologicznym (ob. Paläontologisches Museum München) kierowanym przez prof. Karla Alfreda von Zittela (1839–1904). W 1884 r. uzyskał we Lwowie habilitację z geologii historycznej i rozpoczął wykłady jako docent prywatny. W 1888 r. nadano mu tytuł profesora nadzwyczajnego mineralogii, a w 1890 r. profesora zwyczajnego. Na początku lat 90. XIX w. obok godności dziekana Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Lwowskiego sprawował funkcję przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika. Ponadto był prełożonym Gabinetu Mineralogicznego, Geologicznego i Geognostycznego (przemianowanego później na Gabinet Mineralogiczny i Petrograficzny) mieszczącego się przy ul. Długosza 6. Należał również do: Komisji Fizjograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie, Towarzystwa dla Zbadania Wschodu w Wiedniu, Towarzystwa im. Stanisława Staszica we Lwowie, Towarzystwa Geograficznego w Monachium, Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w Kijowie².

¹ Chociaż korzenie geologii sięgają czasów starożytnych, oddzielną dyscypliną naukową stała się dopiero w drugiej połowie osiemnastego stulecia. W 1861 r. z Instytutu Botanicznego Uniwersytetu Franciszkańskiego we Lwowie wydzielono dział mineralogiczny kierowany przez prof. Ferdynanda Zirkla (1838–1912). W 1895 r. powstała Katedra Geologii, a w 1905 r. połączony z nią Zakład Geologiczno-Paleontologiczny. Katedrę Mineralogii i Geologii Akademii Technicznej we Lwowie otwarto w 1872 r. J. Wiczkowski, *Lwów jego rozwój i stan kulturalny oraz przewodnik po mieście*, Lwów 1907, s. 245, 258–259.

² Державний архів Львівської області (ДАЛО). Фонд 26. Опис 5. Справа 622, к. 6, 94; С.К. *Uniwersytet Imienia Cesarza Franciszka I. we Lwowie. Skład uniwersytetu i program wykładów w półroczu zimowym 1892/3.*, Lwów 1892, s. 19; С.К. *Uniwersytet Imienia Cesarza Franciszka I we Lwowie. Skład Uniwersytetu w roku akademickim 1910/1911*, Lwów 1910, s. 22; *Towarzystwo im. Stanisława Staszica*, „Kurjer Lwowski” 1893, nr 55, s. 2.

Według Antoniego Chołoniewskiego, Emil Dunikowski – człowiek energiczny i przedsiębiorczy – był mężczyzną wzrostu średniego, „dobrej tuszy”, z wąsami „szlacheckiego kroju”, niebieskimi oczami i bujnymi włosami³. Z małżeństwa z Wandą Marią z d. Schneid (1860–1959) miał m.in. syna Zbigniewa Jana (1889–1964). Ten nazywany „polskim alchemikiem” – niesławny bohater rozgrywającej się w Paryżu afery defraudacyjnej z początku lat 30. XX w. – twierdził, że potrafił zwiększyć zawartość złota w minerałach z niewielką jego ilością⁴. Emil Dunikowski zmarł we Lwowie 24 czerwca 1924 r. Spoczywa na czwartym polu Cmentarza Łyczakowskiego.

Na przestrzeni lat mieszkał w różnych częściach Lwowa. Był zameldowany przy ul. Kurkowej 5, Długosza 19, Chorążczyzna boczna 14B, Bielowskiego 5, Tańskiej 1⁵. Najbardziej znanym miejscem jego zamieszkania była wybudowana przezeń nieopodal Cytadeli w drugiej połowie lat 90. XIX w. według projektu Władysława Rauscha (1858–1912) eklektyczna willa w stylu późnego historyzmu przy ul. Mochnackiego (obecnie Драгоманова 42)⁶. Koszty budowy i wypo-

sażenia gmachu przekroczyły kwotę 600 tys. koron. W willi tej – nazywanej w literaturze ukraińskiej pałacem Dunikowskich – zakupionej wiele lat później przez metropolitę greckokatolickiego abpa Andrzeja Szeptyckiego (1865–1944), otwarto w 1913 r. muzeum cerkiewne będące współcześnie częścią Muzeum Narodowego (Національний музей у Львові). Zatrzymujący się przed tym wyróżniającym się, przyozdobionym w wieżyczki, wymyślne dekoracje sztukatorskie i rzeźby figuratywne zabytkiem architektury turyści, ale i lwowianie, rzadko mają świadomość, do kogo nieruchomość ta pierwotnie należała i jak ciekawa jest jej przeszłość. Budynek jest niedostępny dla zwiedzających. Od wielu lat poruszana jest kwestia jego remontu. Znajdujący się za nim gmach w kształcie litery L, zaprojektowany przez architekta ukraińskiego Aleksandra Perzańskiego (1892–1972), powstał w pierwszej połowie lat 30. XX w.

W pracach naukowych drukowanych w najważniejszych europejskich czasopiśmie specjalistycznych: „Jahrbuch der Kaiserlich-Königlichen Geologischen Reichsanstalt”, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika”, „Palaeontographica”, „Verhandlungen der Kaiserlich-Königlichen Geologischen Bundesanstalt” i in., Emil Dunikowski zajmował się m.in.: geologią Wzgórz Euganejskich, gąbkami ze Spitzbergu i Podola, otwornicami opoki lwowskiej i Schafbergu, geologią Karpat i tamtejszymi złożami ropy naftowej. Był autorem przekroju geologicznego lewego brzegu Dniestru między Terszowem a Spasem. Przy pomocy utalentowanego geologa i podróżnika lwowskiego prof. Józefa Siemiradzkiego (1858–1933) przygotował na początku lat 90. XIX w. pierwszą mapę geologiczną ziem polskich wraz z objaśnieniem. Uczestniczył w pracach nad *Atlasem geologicznym Galicji* – w opinii dzisiejszych ekspertów wydawnictwa o „doniosłym znaczeniu dla geologii polskiej”⁷. W 1912 r. w *Encyklopedii Polski* ukazało się jego obszerniejsze studium poświęcone geologii Karpat

³ A. Chołoniewski, *Nieśmiertelni. Fotografie literatów lwowskich*, Lwów 1898, s. 58.

⁴ Szerzej: S. Łotysz, *Alchemik czy oszust? Sprawa Zbigniewa Dunikowskiego*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 2009, 54 /2, s. 63–82.

⁵ C.K. *Uniwersytet imienia Cesarza Franciszka I. we Lwowie. Skład personalu i program wykładów w letniem półroczu 1884/5*, Lwów 1885, s. 15; C.K. *Uniwersytet imienia Cesarza Franciszka I. we Lwowie. Skład Uniwersytetu i program wykładów w letniem półroczu 1888/9*, Lwów 1889, s. 14; C.K. *Uniwersytet imienia Cesarza Franciszka I. we Lwowie. Skład Uniwersytetu i program wykładów w letniem półroczu 1892/3*, Lwów 1893, s. 13; C.K. *Uniwersytet imienia Cesarza Franciszka I. we Lwowie. Skład Uniwersytetu i program wykładów w letniem półroczu 1894/5*, Lwów 1895, s. 15; *Księga Adresowa Król. Stoł. Miasta Lwowa*, Lwów 1913, s. 92. W pierwszych latach II RP podawano, że Emil Dunikowski mieszkał przy ul. Tańskiej 3. *Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Skład uniwersytetu w roku szkolnym 1920–1921*, Lwów 1921, s. 18.

⁶ J. Purchla, *Wpływy wiedeńskie na architekturę Lwowa 1772–1918*, [w:] J.K. Ostrowski (red.), *Sztuka kresów wschodnich. Materiały sesji naukowej Kraków, maj 1995*, t. 2, Kraków 1996, s. 268.

⁷ M. Graniczny, J. Kacprzak, H. Urban, S. Wołkiewicz, *Atlas Geologiczny Galicji – pierwsza seryjna edycja map geologicznych ziem polskich*, „Przegląd Geologiczny” 2007, vol. 55, nr 5, s. 372.

i Podkarpacia⁸. Ogłosił także wiele artykułów prasowych w „Berliner Tageblatt”, „Gazecie Lwowskiej”, „Gazecie Narodowej”, „The Daily News”, „Słowie Polskim”. Rzadko przywoływanym faktem z biografii Emila Dunikowskiego jest jego twórczość literacka, obejmująca utwory w językach angielskim, polskim i niemieckim m.in.: *Bar i Humań, Eros, Kama (z pradziejów Indii), Koniec Zaporozża, Kościuszko, Odrodzenie, Pieśń legionów, Pod znakiem krzyża, Praca, W poszukiwaniu prawdy, Zmierzch kultury* i in⁹.

Aleksander Chołoniewski uważał Emila Dunikowskiego za „polskiego Kolumba”¹⁰. Wspominając go w 1924 r. student i współpracownik, geolog Jan Nowak (1880–1940) odnotował, że „był [on] wszędzie i wszystko widział (...)”¹¹. Nie ulega wątpliwości, że dorobek podróżniczy Emila Dunikowskiego w kontekście liczby odwiedzonych krajów był imponujący. Na przestrzeni ponad pięćdziesięciu lat w celach zawodowych i krajoznawczych przebywał m.in.: w północnej Afryce, Ameryce Północnej, większości krajów Europy, Indiiach, Japonii i w wielu innych miejscach. Dokumenty archiwalne z Archiwum Państwowego Obwodu Lwowskiego (Державний архів Львівської області) we Lwowie pozwalają na dokładne określenie kierunków jego destynacji. Latem 1876 r. uczestniczył w wyprawie badawczej geologa austriackiego prof. Eduarda Suessa (1831–1914), której celem było poznanie budowy geologicznej poprzecznego profilu wschodnich Alp. Wiadomo jednak, że już wcześniej, realizując zadania badawcze przebywał w Prusach, Rosji, Francji i Szwajcarii. Wykonując zlecenie jednego z najważniejszych organów administracji galicyjskiej, tj. Wydziału Krajowego, w 1880 r. badał pod względem geologicznym brzegi Dniestru

od Niżniowa do Okopów¹². W latach 1877, 1883, 1895, 1902 przebywał we Włoszech zapoznając Wzgórza Euganejskie, Apeniny koło Parmy i Florencji, Apeniny Kalabrii oraz złożył siarki na Sycylii. Zleceniodawcami tych podróży był Bank Anglo-Austriacki i Towarzystwo Csikos-Bengesko. Czterokrotnie udawał się z wielkim entuzjazmem do Stanów Zjednoczonych Ameryki w latach 1891, 1892¹³, 1893 i 1906, co niekiedy kolidowało z jego obowiązkami uniwersyteckimi. Jako delegat grupy polskich posłów do Sejmu Krajowego Galicji i Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, odwiedził w 1892 r. wszystkie większe skupiska polonii amerykańskiej w Baltimore, Buffalo, Chicago, Cleveland, Detroit, Filadelfii, Milwaukee, Newarku, Nowym Jorku i Pittsburgu, doświadczając wielu dowodów serdeczności¹⁴. Lwówianina równie owacyjnie powitano w roku następnym¹⁵. Przemawiał m.in. na otwarciu galerii obrazów malarzy polskich w Memorial Art Palace w Chicago¹⁶. U zaoceanicznych rodaków szczególnie doceniał ich przedsiębiorczość. Zwracał uwagę na potrzebę kontaktów intelektualnych z ojczyzną¹⁷. Interesował go problem tożsamości emigrantów w nowym społeczeństwie i trwałość więzi z Galicją i pozostałymi zaborami. Był członkiem Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej¹⁸. W przeko-

⁸ E. Dunikowski, *Geologia Karpat i Podkarpacia*, [w:] *Encyklopedia Polska. Tom I – Dział I i II. Geografia fizyczna ziem polskich i charakterystyka fizyczna ludności*, Kraków 1912, s. 23–60. Rozdział zaopatrzone w dwie mapy przygotowane przez autora: *Mapę geologiczną Tatr i Pienin* oraz *Mapę geologiczną południowej Polski*.

⁹ ДАЛО. Ф. 26. Оп. 5. Спр. 622, к. 99.

¹⁰ A. Chołoniewski, *op. cit.*, s. 58.

¹¹ J. Nowak, Ś. P. Dr Emil Habdank-Dunikowski, „Wiadomości Geograficzne” 1924, z. V, VI, VII, s. 65.

¹² E. Dunikowski, *Brzegi Dniestru na Podolu galicyjskim*, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika” 1881, R. VI, s. 63–69, 98–129, 245–273, 341–360.

¹³ Idem, *Od Atlantyku poza Góry Skaliste. Szkice z podróży geologicznej po Ameryce Północnej*, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Tow. Przyrodników imienia Kopernika” 1892, R. XVII, s. 1–57, 142–217, 264–298, 308–373, 420–442, 534–560.

¹⁴ ДАЛО. Ф. 26. Оп. 5. Спр. 622, к. 95; *Misja polityczna dra Dunikowskiego*, „Kurjer Lwowski” 1892, nr 243, s. 2; *Przyjęcie prof. Dunikowskiego w Newarku*, „Przegląd Emigracyjny. Dwutygodnik Ekonomiczno-Społeczny” 1892, nr 6, s. 52–53; *Przyjęcie w Buffalo*, „Przegląd Emigracyjny. Dwutygodnik Ekonomiczno-Społeczny” 1892, nr 6, s. 53–54.

¹⁵ „Kurjer Lwowski” 1893, nr 197, s. 5.

¹⁶ „Kurjer Lwowski” 1893, nr 237, s. 5.

¹⁷ E. Piltz, *Polacy w Ameryce*, „Kraj. Pismo polityczne, społeczne, ekonomiczne i literackie” 1893, nr 13, s. 2.

¹⁸ ДАЛО. Ф. 26. Оп. 5. Спр. 622, к. 94.

naniu historyka Bogdana Grze-
łońskiego, lwowski uczoney był
„prekursorem naukowych wy-
jazdów Polaków do Stanów
Zjednoczonych”¹⁹. Powróciwszy
w rodzinne strony, miał spopu-
laryzować w Galicji napój zwa-
ny kogucim ogonem (*cock tail*)²⁰.

Na polecenie rządu turec-
kiego i Banku Ottomańskiego
w 1896 r. zapoznał Albaniją, Ma-
cedonię i okolice Tracji (dorzecze
Wardaru od Uisküb do Salonik
oraz Brusy i Olimpu). W roku
następnym wysłany przez Stonua
Romana wybrał się w rumuńskie
Karpaty. W 1897 r. przebywał w północnej
części Włoch, na Kaukazie, w Armenii i na
Araracie. W marcu i kwietniu 1898 r. ponow-
nie zawitał do Italii, wykonując zdjęcia geo-
logiczne między Piacencą a Bolonią. Dalej
na polecenie syndykatu paryskiego Hebré et
Co. pojechał do Algierii i francuskiej Sahary.
Przemierzył wtedy okolice Batny, Biakry, Bli-
dy, Oranu, Orleansville i Tlemcenu. Do poło-
żonego w głębi saharijskiej pustyni Ain Salah
dotarł karawaną przez Touggourt i El Goleę.
Droga powrotna do Europy prowadziła nato-
miast przez Ghadames, Gurd i Tunis. Uzyskał
wówczas pozwolenie ministerialne na objęcie
stanowiska naczelnego geologa francuskiego
towarzystwa akcyjnego Bukowina. Drugi raz
w Algierii przebywał w 1903 r. W 1908 r. dla
Berlińskiego Towarzystwa Górniczego zbadał
Góry Kruszcowe nieopodal Johannegeorgen-
stadt w Czechach i Saksonii. W 1909 r. Nord-
deutsche Bohrgesellschaft poleciło mu udać
się do Alzacji, a syndykat paryski Vilter et.
Co. do południowej Francji. Gościł również
w hiszpańskiej Galicji w okolicach Santan-
der. W 1913 r. Rudarska Udrugia z Saraje-
wa pokierowała go do Bośni i Hercegowiny.
W różnych okresach czasowych wyjeżdżał
ponadto do północnych Węgier, Siedmio-
grodu, Turyngii i Westfalii. Zapoznał także
terytorium Europy od Ukrainy po Finlandię²¹.

¹⁹ B. Grzełoński, *Ameryka w pamiętnikach Po-
laków. Antologia*, Warszawa 1988, s. 216.

²⁰ A. Chołoniewski, *op. cit.*, s. 58.

²¹ ДАЛО. Ф. 26. Оп. 5. Спр. 622, к. 57–58, 95–
96; L. Finkel, M. Chlamtacz, *Kronika Uniwer-
sytetu Lwowskiego. I. (1894/95 – 1897/1898)*,
Lwów 1899, s. 202; „Kurjer Lwowski” 1898,
nr 173, s. 3.



Willla Dunikowskich we Lwowie.
Źródło: fot. P. Brzegowy (2021)

„Dziwne uczucia ogarniają mię zawsze przed
wyjazdem: radość, że tyle nowych rzeczy
zobaczę i tyle się nauczę – niecierpliwość,
gdyż chciałbym to wszystko, co mnie oczeku-
je, jak najprędzej pochłonąć (...)” – od-
notował, wypływając na pokładzie parowca
Księżę Bismarck z Hamburga na kongres
geologiczny w Meksyku²². Kilkunastodnio-
wa podróż do Ciudad de México obfitowa-
ła w egzotyczne krajobrazy, m.in. Bermudy,
„bańki mydlane na morskim zwierciadle”²³,
jak literacko nazwał Bahamy, Hawanę i jej
okolice. W Meksyku odwiedził liczne miej-
sowości i wybrane stanowiska archeolo-
giczne m.in.: Chihuahua, Córdoba, Cuerna-
vaca, Cueva, Guanajuato, Mitla, Monterrey,
Nogales, Orizaba, Pachuca, okolice Parral,
San Andrés, San Luis Potosi, Santiago de
Querétaro, Tampico, Teotihuacán, Toluca,
Veracruz, Zacatecas. Przywiezione przezeń
minerały umieszczono w dwóch szafkach
w Gabinetie Mineralogicznym, Geologicznym
i Geognostycznym²⁴.

Jedną z najbardziej znanych wypraw
badawczych Emila Dunikowskiego była zaini-
cjowana 15 lipca 1910 r. podróż w odległe
Góry Sichote-Aliń. W tej podróży, pełnej
przygód i rozgrywającej się w zajmujących
pod względem krajobrazowym krańcach
Cesarstwa Rosyjskiego, towarzyszyli mu
znakomity geograf prof. Eugeniusz Ro-
mer (1871–1954) oraz Jan Nowak i Julian

²² E. Habdank Dunikowski, *Meksyk i szkice z po-
dróży po Ameryce*, Lwów [b.r.], s. 1–3.

²³ *Ibidem*, s. 23.

²⁴ J. Wiczkowski, *op. cit.*, s. 258.

Tokarski (1883–1961) w charakterze asystentów²⁵. Po przybyciu koleją transsyberyjską do Władystoku, a następnie drogą morską do Zatoki św. Olgi, w eskorcie hunhuzów i strzelców, podczas trwającego sto dni marszu badano tamtejsze rudy²⁶. Wykonano zdjęcia geologiczne i skartowano wiele właściwie nieznanymi obszarów²⁷. W drodze powrotnej zwiedził Emil Dunikowski fragmenty Japonii, Chin, Półwyspu Malajskiego, wschodnie Indie, Cejlon, Kanał Sueski, Egipt i Triest²⁸. Jesienią 1911 r. planował w towarzystwie chemika lwowskiego Westwalewicza trwającą przynajmniej pół roku, a ostatecznie niezrealizowaną, wyprawę do Brazylii. Zamierzał badać rzeźbę terenu i surowce mineralne nieznanymi wtedy obszarów²⁹.

Uczestnictwo w wydarzeniach naukowych – na przykład podczas kongresów geologicznych w 1891 r. w Waszyngtonie i Meksyku w 1906 r. – łączył z aktywnym krajoznawstwem³⁰. Nawet jeżeli reprezentował Uniwersytet Franciszkański, nie zawsze mógł liczyć na dofinansowanie wynikających z wyjazdów wydatków. Przykładowo wiedeńskie Ministerstwo Wyznań i Oświaty negatywnie zaopiniowało jego podanie o przyznanie subwencji 500 złotych reńskich na pokrycie kosztów podróży w związku z 5.

Międzynarodowym Kongresem Geologicznym w Waszyngtonie³¹.

Wywieziony w 1915 r. przez Rosjan do Kijowa jako jeden z tzw. zakładników miasta Lwowa, chętnie dzielił się swoimi wspomnieniami z licznych wyjazdów. Wygłosił cykl wykładów, opowiadając o Algierii, Cejlonie, Kalifornii, Meksyku, Yellowstone, geologii Kijowa, najdawniejszych mieszkańców Naddnieprza, Mormonach, Saharze, powstawaniu łądów i gór oraz Syberii. Wielokrotnie występował w pensjonacie Henryki Doliwa-Głębockiej z wykładami o geologii ziem polskich³².

Pierwsza wojna światowa, przymusowy pobyt Emila Dunikowskiego w Kijowie (do lutego 1918 r.) w połączeniu z problemami zdrowotnymi spowodowały, że nie przygotował do druku prac o Algierii i francuskiej Saharze, wschodniej Syberii, Japonii, Indiach, Bałkanach, Kaukazie oraz studium o osobliwościach przyrodniczych USA. Planowane książki podróżnicze, obfitujące zapewne w wiele ważnych i ostatecznie nieznanymi nam faktów z jego badań terenowych i krajoznawczych, ostatecznie nigdy się nie ukazały. Nie są znane losy spisanych przezeń pamiętników, które również planował opublikować. Być może pewnego dnia odnajdą się przypadkowo w jakimś archiwum lub pojawią na aukcji antykwarycznej...

Emil Dunikowski, podobnie jak inny, chyba najbardziej znany lwowski geolog prof. Rudolf Zuber (1858–1920), był człowiekiem gruntownie wykształconym i ambitnym uczonym o sławie światowej. Towarzystwi, temperamentny, pracowity, chętnie poświęcał czas na odkrywanie tajemnic przeszłości Ziemi, aktywnie rozwijając polskie życie naukowe w zaborze austriackim. Realizując badania geologiczne w różnych częściach globu, spełniał pasję podróżniczą, dostarczając barwnych, zajmujących prowadzonych pod względem narracji i starannie wyrażonych piórem opisów szeroko rozumianej przyrody, przeplatanych treściami naukowymi z biologii, geografii, geologii i historii. Z przykrością odnotować trzeba, że postać ta pamiętana jest i przypominana współcześnie tylko przez wąskie grono specjalistów z zakresu nauk o Ziemi.

²⁵ W. Hahn, *Kronika Uniwersytetu Lwowskiego. II. (1898/1899–1909/1910)*, Lwów 1912, s. 489; E. Romer, *Przyczynek do topografii i geografii Sichota-Alinu*, Rozprawy Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III. T. 12. Dział A, Kraków 1912, s. 45; „Kurjer Lwowski” 1911, nr 27, s. 5; M. Kałuski, *Polacy w rosyjskiej Mandżurii*, „Studia Polonijne” 2001, t. 22, s. 123; zob. ДАЛО. Ф. 26. Оп. 5. Спр. 622, k. 73.

²⁶ *Polska wyprawa naukowa w najdalszy Wschód*, „Kurjer Lwowski” 1910, nr 287, s. 4.

²⁷ *I. Sprawy Krakowskiego Oddziału Pol. Tow. Geogr.*, „Wiadomości Geograficzne” 1925, z. 1–2, s. 2.

²⁸ ДАЛО. Ф. 26. Оп. 5. Спр. 622, k. 96; „Kurjer Lwowski” 1910, nr 499, s. 4.

²⁹ „Kurjer Stanisławowski” 1911, nr 1338, s. 3.

³⁰ E. H. Dunikowski, *Z Veracruz do stolicy meksykańskiej*, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Tow. Przyrodników imienia Kopernika” 1910, R. XXXV, s. 12–42; *Wyciąg z protokołów posiedzeń Zarządu i naukowych zebrań Tow. im. „Kopernika” za czas od stycznia do końca marca b. r.*, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Tow. Przyrodników imienia Kopernika” 1892, R. XVII, s. 127; W. Hahn, *op. cit.*, s. 489.

³¹ ДАЛО. Ф. 26. Оп. 5. Спр. 622, k. 47.

³² J. Białynia Chołodecki, *Zakładnicy miasta Lwowa w niewoli rosyjskiej 1915–1918*, Lwów 1930, s. 35, 75–76.

Żołnierz stanął na wysokości zadania. Armia Krajowa w Operacji „Burza” we Lwowie

Z dr. Damianem Karolem Markowskim, historykiem z Instytutu Pamięci Narodowej, znawcą dziejów najnowszych Kresów, autorem książki *Lwów 1944*, rozmawia Paweł Stachnik

Jakie były siły Obszaru Lwów Armii Krajowej latem 1944 roku? Czy Armia Krajowa była we Lwowie silna i dobrze zorganizowana?

Latem 1944 roku Armia Krajowa we Lwowie była najsilniejsza na terenie Kresów Południowo-Wschodnich; nie uwzględniamy tu oczywiście terenów Wołynia, na których kilka miesięcy wcześniej operowała 27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK. Na terenie Lwowa w ramach Operacji „Burza” do walki zmobilizowano początkowo około 3 tys. żołnierzy. Później siły te rozrastały się w ramach swoistej mobilizacji podwórkowej, bo do walczących oddziałów dołączali zarówno kolejni członkowie miejskiej konspiracji, jak i nowi ochotnicy. Na krótko przed zakończeniem Operacji „Burza” we Lwowie stan odtworzonej (w ramach planu Odtwarzania Sił Zbrojnych w Kraju) 5. Dywizji Piechoty AK zbliżył się do 5 tys. żołnierzy. Była to więc znacząca siła.

Jakie zadania wyznaczono lwowskiej AK w ramach Operacji „Burza”?

Te zadania zostały sprecyzowane już kilka miesięcy wcześniej podczas dyskusji, jaka odbyła się w Komendzie Głównej Armii Krajowej na temat roli kresowych oddziałów AK podczas wkraczania wojsk sowieckich. Przede wszystkim postanowiono, że Lwów będzie jednym z tych miejsc, w których Armia Krajowa dokona zbrojnej demonstracji siły wobec wkraczających sowieków z uwagi na ich roszczenia do polskich ziem wschodnich. Zdecydowano, że zarówno wobec takiej polityki sowieków, jak i wobec niebezpieczeństwa grożącego ze strony ukraińskich nacjonalistów, we Lwowie wybuchnie ograniczone powstanie. Ograniczone – to znaczy: AK będzie się starała przejąć miasto, ale przy współudziale sił Armii Czerwonej. Należało zrobić to w taki sposób, aby zachować trzon bojowy lwowskiej AK, a jednocześnie nie dopuścić, by walki toczony z Niemcami przekształciły się w regularną

bitwę, której rezultatem mogłoby być wykrwawienie czy wręcz zniszczenie polskich oddziałów. I rzeczywiście, plan ten się udał. Gdy sowieckie czołówki pancerne uderzyły na przedmieścia, stopniowo mobilizowane były kolejne oddziały AK w kolejnych kwartałach, począwszy od wschodnich części, od Pohulanki przez Łyczaków w stronę Śródmieścia i Starego Miasta, aby następnie objąć powstaniem kolejne obszary Lwowa.

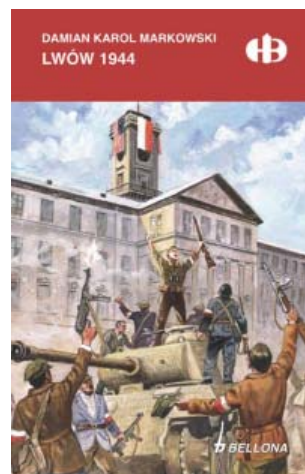
Czy Niemcy zamierzali silnie bronić miasta?

Nie mieli takiego zamiaru. W tamtym czasie, kiedy we Lwowie wybuchło polskie powstanie, niemiecki front był już praktycznie zwinięty przez nacierające oddziały Armii Czerwonej, które kilka dni wcześniej rozpoczęły kolejną już, udaną ofensywę i w kilku miejscach ów front przerwały. Wobec tego stało się jasne, że Niemcy Lwowa nie utrzymają, natomiast pozostawili w nim silne oddziały straży tylnej, które miały opóźnić wojska sowieckie i które swoje zadanie bojowe wykonały. Umożliwiły reszcie pozostałym po katastrofie na froncie oddziałów niemieckich odwrót na zachód i na południe, na łuk Karpat.

Jakie z kolei były sowieckie zamierzenia wobec Lwowa?

Plany sowieckie pozostawały niezmienne właściwie od września 1939 roku. Nawet po tym, gdy latem 1941 roku sowieci byli zmuszeni wycofać się ze Lwowa, Galicji Wschodniej i całości polskich Kresów Wschodnich, przez cały okres wojny traktowali te tereny

Książka dr. Damiana
Karola Markowskiego





(zajęte przemocą we wrześniu 1939 roku) jak swoją własność, swoją zdobycz, która po wojnie powinna im przyspaść. Dlatego już jesienią 1943 roku zaczęło się odtwarzanie władz administracyjnych, które później wraz z Armią Czerwoną miały znów przybyć na te tereny i odbudować sowiecką administrację okupacyjną. Tak też się stało, bo dosłownie dwa dni po tym, jak Lwów został zajęty przez Armię Czerwoną, na jego terenie znalazły się zarówno sowieckie władze miasta, jak i władze obwodu lwowskiego, które przystąpiły do organizacji systemu okupacyjnego, podobnego do tego, jaki istniał tam przed czerwcem 1941 roku.

A jakie były sowieckie plany taktyczne w odniesieniu do miasta? Jakie siły przeznaczono do jego zdobycia?

Początkowo sowieci planowali uderzyć na miasto siłami kilku brygad pancernych, tych, które zostały rzucone w luki wybite w niemieckim froncie. Później, po pierwszych walkach w mieście, kiedy sowieci mogli liczyć na pomoc polskiej lekkiej piechoty w postaci oddziałów AK, okazało się, że siły te są właściwie wystarczające, by stopniowo wypierać Niemców z miasta. Skierowano tam jeszcze tylko kilka batalionów piechoty zmotoryzowanej. Trzeba przyznać, że w porównaniu na przykład do strat poniesionych w walkach o inne miasta: Wilno, Kowel czy Tarnopol (ten ostatni zamieniony w twierdzę) straty sowieckie, a także straty Armii Krajowej we Lwowie były stosunkowo niewielkie. Ograniczyły się one *de facto* do kilkuset żołnierzy oraz kilkudziesięciu pojaz-

dów pancernych, co jak na realia frontu wschodniego było niewielką dainą krwi za zajęcie tak wielkiego ośrodka miejskiego.

Jako pierwsza weszła do Lwowa sowiecka 29. Brygada Strzelców Zmotoryzowanych...

Jej czołgi początkowo atakowały bez desantu lub z desantem w śladowych ilościach, ponieważ *gros* tej jednostki znajdowało się

jeszcze poza miastem, a tylko czołówka złożona z kilkunastu pojazdów pancernych dotarła do rogatek. Kilka pierwszych czołgów zostało zniszczonych przez niemiecką obronę. Natomiast później, gdy w miarę docierania do miasta kolejnych pojazdów brygady otrzymywały one wsparcie żołnierzy 14. Pułku Ułanów AK, straty sowieckie malały, a zdobycze terenowe rosły. Większe straty sowieci ponieśli tam, gdzie próbowali atakować, nie czekając ani na wsparcie własnej piechoty, ani nie szukając kontaktu z oddziałami polskimi.

14. Pułk Ułanów Armii Krajowej odegrał istotną rolę w walkach na południowo-wschodnim odcinku.

Była to rola kluczowa, bo pułk ten zarówno osłaniał miasto od strony wschodniej i południowo-wschodniej przed działaniami ukraińskich nacjonalistów, a z drugiej strony okazał się bardzo ważnym czynnikiem w walkach w samym mieście. Była to bardzo dobrze uzbrojona i wyszkolona jednostka (jak na warunki partyzanckie oczywiście). Miała zarówno doświadczenie bojowe, jak i niezłą broń, częściowo pozyskaną ze zrzutów (w tym wyrzutnie pocisków przeciwpancernych PIAT brytyjskiej produkcji). Gdy do miasta dotarły pierwsze pojazdy wspomnianej 29. Brygady Strzelców Zmotoryzowanych, kontakt z nimi nawiązali właśnie żołnierze pułku, którzy zapewнили czołgom osłonę desantową i posłużyli jako przewodnicy. Część pododdziałów pułku osłaniała miasto od strony Winnik, gdzie znajdowało się odchodzące na zachód duże zgrupowanie wojsk nie-

mieckich. Gdyby Niemcy zdecydowali się połączyć z garnizonem Lwowa, zadaniem pułku było ich odparcie.

22 lipca we Lwowie zaczęły się walki uliczne. Jak przebiegały?

Początkowo skupiały się na południowo-wschodnich przedpolach miasta, następnie powoli sowieckie natarcie oraz wspierające je od wewnątrz natarcia Armii Krajowej wgrzały się coraz bardziej w niemiecką obronę, spychając ją najpierw w stronę dolnego, potem górnego Łyczakowa. Padały kolejne niemieckie punkty oporu, w końcu do zaciętych walk doszło również na terenie Śródmieścia, gdzie broniły się oddziały niemieckich strzelców górskich i gdzie Niemcy dysponowali również bronią pancerną. Nie było tego wiele, zaledwie kilka czołgów, ale były to maszyny typu Pantera, które wkomponowane w miejskie punkty oporu sprawiały, że sowieci musieli obchodzić te miejsca zamiast zdobywać je czołowo. Podczas tych walk górę brali żołnierze Armii Krajowej, którzy doskonale znali swoje miasto, atakowali niemieckie punkty oporu od tyłu, zbliżali się do nich niepostrzeżenie, zarzucaли je granatami. Stoczyli m.in. zaciętą walkę z niemieckim doborowym oddziałem strzelców na terenie Ogrodu Jezuickiego i wyszli z niej zwycięsko. Żołnierze AK powiesili flagi polską, sowiecką, brytyjską i amerykańską na lwowskim ratuszu. Później sowiecka propaganda próbowała zakłamać ten fakt, twierdząc, że powieszono tam tylko flagę sowiecką i zrobili to sowieccy czołgiści.

Mimo że Niemcy nie zamierzali bronić Lwowa do upadłego, walki w mieście były dość ciężkie.

Opór niemiecki był kontynuowany do tego stopnia, by umożliwić wycofanie się oddziałom na froncie. Obrona Lwowa miała charakter czysto taktyczny i chodziło w niej przede wszystkim o to, by kupić czas jednost-

kom odchodzącym na zachód oraz związać maksymalną liczbę oddziałów sowieckich w walkach o miasto. Niemniej, Lwów nie miał być broniony tak długo i zażarcie jak chociażby wcześniej Tarnopol czy Kowel.

Jak przebiegały walki w zachodnim rejonie miasta?

Tam, podobnie jak w części północnej, Niemcy trzymali się najmocniej. W tym rejonie walki nie przybrały tak korzystnego dla strony polskiej przebiegu jak gdzie indziej. Na terenie zachodnich dzielnic miasta Niemcy zorganizowali kontratak, udało im się rozbić część oddziałów AK, a także odrzucić jednostki sowieckie. Właściwie do końca walk, do 27 lipca, Niemcy trzymali również północny skraj Lwowa. Po pierwsze dlatego, że mieli stamtąd możliwość odskoczenia na tereny Lasów Janowskich i dalej na zachód, po drugie dlatego, że trzymając północ Lwowa, mogli wstrzymać uruchomienie zdobytego przez sowieków lwowskiego węzła kolejowego.

Jak się układała współpraca AK z wojskami sowieckimi podczas walk?

Początkowo bardzo dobrze. Ze strony sowieckiej mieliśmy do czynienia przede wszystkim z żołnierzami frontowymi. Doskonale zdawali sobie oni sprawę, że wszelka pomoc miejscowej partyzantki, w tym przypadku polskiej, pozwoli im zapłacić znacznie mniejszą daninę krwi podczas walk. A to ze względu na znajomość terenu przez partyzantów i możliwość przeniknięcia na



Sowieccy oficerowie rozmawiają z żołnierzami Armii Krajowej



było jasne: AK była postrzegana jako organizacja wroga, a jakiegokolwiek Polski na terenach na wschód od Bugu miało po prostu nie być. Dowódca Lwowskiego Obszaru AK płk Filipkowski ze swoim sztabem został zaproszony przez Sowietów na spotkanie, a następnie wysłany samolotem na rozmowy z gen. Michałem Żymierskim do Żytomierza. Tam wszyscy zostali aresztowani. 31 lipca Sowietci zwołali

niemieckie tyły. Z tego powodu Sowietcy dowódcy z ochotą przyjmowali pomoc oferowaną im przez żołnierzy Armii Krajowej, nawet jeżeli ci żołnierze starali się w jakiś sposób dawać do zrozumienia, że Lwów uważają za ziemię polską. Dla żołnierzy Armii Czerwonej nie miało to większego znaczenia, oni skupiali się na atakowaniu i wypieraniu Niemców. Obie strony wymieniły się oficerami łącznikowymi, komendant Obszaru Lwowskiego AK płk Władysław Filipkowski pseudonim „Janka” zadeklarował wystawienie ze swoich ludzi dywizji piechoty (pod warunkiem dostarczenia przez Sowietów sprzętu), która to dywizja wzięłaby udział w dalszych walkach z Niemcami. Jednak za oddziałami frontowymi szły NKWD i NKGB, a zadaniem tych służb specjalnych było rozprawienie się z polskim podziemiem niepodległościowym.

we Lwowie na odprawę wszystkich pozostałych oficerów AK: komendantów dzielnic, ich zastępców, dowódców kompanii i zgrupowań. Około 30 przybyłych oficerów podstępnie aresztowano i umieszczono w więzieniu przy ul. Łąckiego. Oddziałom AK kazano złożyć broń. Z miasta zniknęły polskie flagi, pojawiła się sowiecka administracja, zaczęły się aresztowania.

Dlaczego właściwie dowództwo Obszaru dało się tak podejść? Wiadomo przecież było, jak Sowietci zachowywali się wcześniej wobec ujawniających się oddziałów akowskich.

Bo takie były rozkazy z góry, takie były rozkazy z Londynu, a dowództwo Obszaru nie miało prawa ich nie wykonać. Szef Lwowskiego Obszaru AK płk Filipkowski już w kwietniu 1944 roku, czyli jeszcze kilka miesięcy wcześniej, zanim na ulicach Lwowa

No właśnie, mimo dobrej współpracy w czasie walk Sowietci zachowali się wobec akowców tak, jak to zrobili wcześniej na Wołyniu i w Wilnie – aresztowali ich.

Nie powinno to być zaskoczeniem, ponieważ NKWD prowadziło Operację „Sejm” polegającą na rozpracowywaniu polskiego podziemia niepodległościowego. Stanowisko Sowietów wobec Armii Krajowej



Czołg T-34 przejeżdża jedną z lwowskich ulic

doszło do pierwszych strzałów w ramach Operacji „Burza”, przewidywał, że pierwszy chwyt sowiecki wobec AK będzie jedwabną rękawiczką, a kolejny będzie już rękawicą żelazną. Więc on doskonale zdawał sobie sprawę, jakie są rzeczywiste intencje fałszywego sowieckiego sojusznika i jak się to wszystko dla polskiego podziemia może skończyć. Jednocześnie wiemy doskonale, że przygotowania do Operacji „Burza” bardzo negatywnie – niestety – odbiły się na przygotowaniu polskich samoobron i oddziałów AK na terenach wiejskich do obrony polskiej ludności przed napadami ukraińskich nacjonalistów.

Patrząc z dzisiejszego punktu widzenia i mając wiedzę, jaką dziś mamy: czy udział w Operacji „Burza”, a potem ujawnienie się wobec Sowietów były słusznymi decyzjami? Wódz Naczelny, gen. Kazimierz Sosnkowski, uważał że przystępowanie do walki i ujawnianie oddziałów oraz struktur cywilnych jest błędem. Lepiej pozostać w konspiracji i przygotować się na drugą okupację sowiecką.

Bez wątplenia gen. Sosnkowski miał rację; tę rację jako pierwsza przyznała mu historia. Operacja „Burza” była działaniem tragicznym, działaniem fatalnym w skutkach dla polskiego podziemia. Za cenę wielu istnień ludzkich – akurat może nie we Lwowie, ale na pewno w Wilnie, na Wołyniu i wielu innych miejscach okupowanej Polski, gdzie straty były znacznie większe – dokonano demonstracji wojskowej i politycznej, która w gruncie rzeczy niewiele dała. W zamian za to trzon kresowej Armii Krajowej został zdekonspirowany przed Sowietami, zanim jeszcze przystąpiono do polsko-sowieckiej rozgrywki o przynależność Kresów i w ogóle o przyszłość powojennej Polski. Jak sądzono – niestety, okazało się, że bardzo naiwnie – taka zbrojna demonstracja miała wykazać Sowietom, że na terenach spornych, na polskich terenach okupowanych na wschodzie nadal powinno istnieć państwo polskie. Oczywiście oni nie byli tym zainteresowani i nie brali tego na poważnie. Polska demonstracja była tylko demonstracją. Weźmy choćby pod uwagę takie proste liczyby: w walkach o Lwów strona polska była gotowa rzucić do akcji około 5 tys. żołnierzy, już po rozszerzonej mobilizacji. Tylko w tym samym czasie na terenie Ga-



Plk Władysław Filipkowski, komendant Obszaru Lwów Armii Krajowej

licji Wschodniej walczyło około pół miliona żołnierzy sowieckich wspieranych setkami czołgów, pojazdów pancernych i samolotów oraz ciężką artylerią. Oczywiście żołnierz polski jak zawsze stanął na wysokości zadania. Armia Krajowa wykazała się po raz kolejny swoim bohaterstwem w walce o Kresy. Natomiast los tej konfrontacji mógł być niestety tylko jeden.

*Autor zdjęć wojennego Lwowa:
Arkadij Szachet*

DR DAMIAN KAROL MARKOWSKI (ur. 1986) – absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, pracownik Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięi Narodowej w Warszawie, badacz historii Polski i Ukrainy, znawca dziejów najnowszych Kresów Wschodnich, autor kilku książek, m.in.: *Płonące Kresy. Operacja „Burza” na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej* (2008), *Anatomia strachu. Sowietyzacja obwodu lwowskiego 1944–1953. Studium zmian polityczno-gospodarczych* (2018), *Ostatni dzień Hanaczowa. Polsko-żydowskie braterstwo w czasach Zagłady* (2020) oraz *Lwów 1944* (2021).

Tadeusz Olszański

Przystanek Kraków

Tadeusz Olszański, wybitny pisarz, tłumacz, publicysta, rodem ze Stanisławowa, czytelnikom kwartalnika *Cracovia Leopoldis* znany jest przede wszystkim z książek wspomnieniowych *Kresy Kresów. Stanisławów* i *Stanisławów jednak żyje*. Prezentowany poniżej tekst pochodzi z najnowszej jego książki *Było, minęło, zostało w pamięci*, która na księgarskim rynku ukaże się jesienią tego roku nakładem warszawskiego wydawnictwa Studio Emka, które obchodzi w tym roku 30. rocznicę działalności. Wiele ich książek zyskało dużą popularność, ponieważ z rzadką przenikliwością wskazują źródła problemów społecznych, wspierają menedżerów i przedsiębiorców w działaniu, popularyzują wiedzę ekonomiczną. Ich dewizą jest tworzenie i publikowanie książek stojących blisko życia i ludzi. Czego najlepszym przykładem jest najnowsza książka Tadeusza Olszańskiego, do lektury której zachęcamy!

Po blisko 2 latach pobytu na Węgrzech w rodzinnym majątku matki w Nagy Tarna, natychmiast po zakończeniu wojny, ojciec zdecydował, że wracamy do Polski, a w sierpniu 1945 r., że ruszamy w drogę, jedziemy. Już nie do Stanisławowa, który został wcielony do Związku Radzieckiego i gdzie przepadł nasz cały dobytek, lecz do Krakowa, bo miał tam przyjaciół, z których zapewne ktoś przeżył wojnę. A mama zostanie jeszcze popilnować majątku w już oddanej Rumunii Tarna Mare.

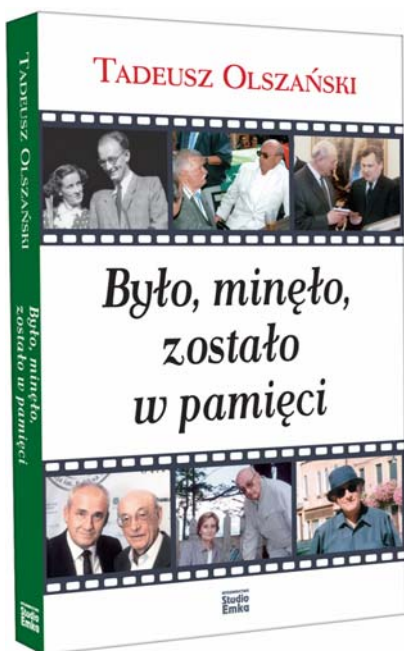
Początek tej powrotnej podróży był okropny. Dwa dni, różnymi pociągami, w przepelnionych wagonach, z wysiadaniami przy wysadzonych mostach kolejowych i przechodzeniem przez kładki lub przeprawianie promem przez rzekę Ciseń, z nocowaniem na jakimś dworcu, dojechalśmy wreszcie do Budapesztu. Dopiero tam ojciec zorientował się, że po drodze radzieccy żołnierze, od których wszędzie się roiło, ukradli mu lekarski kuferek, w którym ukrył dwa złote zegarki kieszonkowe. Jedyny skarb do

sprzedania, który miał nam zapewnić jakieś pieniądze po przyjeździe do Polski. W Budapeszcie dotarliśmy do biura PUR-u, czyli Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, który mieścił się w jakichś koszarach, gdzie nas też zakwaterowano w zbiorowej sali. Było już tam pełno od czekających na transport Polaków. Po dwóch dniach wsadzono nas do pociągu towarowego, po kilkanaście osób do jednego wagonu, i po kolejnych kilku dniach okrężnej podróży przez Słowację oraz Czechy 22 sierpnia dotarliśmy wreszcie do celu. Na udekorowanej polskimi flagami stacji w Dziedzicach mnóstwo ludzi płakało i całowało ziemię. Ja też, bo znów byliśmy w wyzwolonej po wojnie Ojczyźnie! W punkcie etapowym PUR-u, na dworcu, wydano nam zaświadczenia, wolne bilety kolejowe oraz po 150 złotych zapomogi!

Z miejsca też pojechaliśmy do Krakowa, do państwa Bulandów, którzy mieszkali przy ulicy Wierzbowej. Pan Bulanda pracował w Urzędzie Wojewódzkim Stanisławowa, znał się z moim ojcem, a ja z jego synem Jasiem, chodziliśmy do jednej klasy. Kiedy Stanisławów zajęli sowieci, Bulandom udało się przedostać do Krakowa. Inaczej wylądowaliby na Syberii, jak wszyscy państwowi urzędnicy. Oczywiście przyjęli nas bardzo serdecznie.

W Krakowie na prośbę ojca sprzedałem klaser ze swoim zbiorem znaczków, jedyną rzecz, która nam się ostała i można ją było spieniężyć. To był piękny zbiór polskich, radzieckich i niemieckich znaczków, za które w sklepie filatelistycznym przy ulicy Floriańskiej dostałem 800 zł. A tato obiecał, że jak tylko zarobi, to dostanę jeszcze więcej na dalsze kompletowanie znaczków. I słowa dotrzymał. Żal mi wprawdzie było swego zbioru, ale jednocześnie byłem usatysfakcjonowany, że pierwszy raz w życiu przyczyniłem się do uzyskania pieniędzy koniecznych, aby przeżyć te pierwsze dni w wolnej Polsce.

Ojciec zostawił mnie u Bulandów, a sam wyruszył szukać pracy i jakiegoś lokum. Pracę z miejsca znalazł w Szpitalu Miejskim przy ulicy Kopernika, a tam zupełnie niespodziewanie spotkał dobrze mu znaną pielęgniarkę Bronię Atamaniuk, z którą pracował w Stanisławowie. Właśnie rzucił ją mąż, Ukrainiec, który po prostu uciekł, bo współpracował z Niemcami. Zostawił ją z rocznym synkiem Bogdanem na łasce losu.



Tyle że w krakowskim mieszkaniu przy ulicy Grodzkiej 35! No i myśmy tam też się pomieścili. A ja ze swoim świadectwem ukończenia I klasy gimnazjalnej w polskiej szkole na Węgrzech w Balatonboglar zostałem przyjęty do Gimnazjum i Liceum im. św. Jacka. Do specjalnej klasy z przyspieszonym programem, w której w ciągu jednego szkolnego roku miano odrobić zaległości i ukończyć II i III gimnazjalną! Uczyliśmy się wtedy przez 6 dni w tygodniu i tylko niedziele były wolne.

Ten rok w Krakowie był bodaj jednym z najtrudniejszych w moim życiu. Bo bez matki, która o wszystko dbała. I z ośmioma godzinami nauki, która zaczynała się po południu i kończyła późnym wieczorem, prawie nocą. W tej mojej klasie było sporo starszych ode mnie chłopców, bo pod okupacją polską młodzież uczono tylko do siódmej klasy, a potem brano do przymusowej pracy tzw. Arbeitsdienst. Kuliśmy wszyscy w dzień i noc, aby odrobić zaległości. Z tej krakowskiej klasy zapamiętałem dwóch kolegów, którzy potem stali się sławni. Tancerza i reżysera baletowego Witolda Grucę oraz Jacka Snopkiewicza, który został ligowym piłkarzem Wisły Kraków.

Mój dzień w Krakowie zaczynał się wczesnym rankiem od skromnego śniadania, bo nam się nie przelewało, a potem odrabiania

lekcji oraz obowiązkowych lektur. O godzinie drugiej szedłem na obiad do kościoła Franciszkanów, słynnego z witraży Wyspiańskiego. W tym czasie prowadzono tam stołówkę dla repatriantów, którzy przewalali się przez Kraków ze Wschodu na Ziemię Zachodnie, i różnych biedaków. Miałem tam wykupiony karnet obiadowy i na zawsze zapamiętałem przymocowane łańcuszkami do stołów łyżki do zupy. Bo stołownicy je zabierali, kradli. Tak wtedy było, gdyż wielu ludzi potraciło wszystko w czasie wojny. Do obmycia łyżek były miseczki z wodą i ściereczki. Każdy następny oczyszczał je po poprzedniku. Ja nie musiałem ich używać, bo w tornistrze z zeszytami miałem swoją łyżkę z domu. I łyżką jadło się też drugie danie, przeważnie ziemniaki, kasze, jakieś jarzyny i czasem kotlet mielony, raczej z bułki niż mięsa. Kolejkę natomiast musiałem z reguły odstać, bo stołowników było więcej niż miejsc. A niektórzy stawali za plecami jedzących i popędzali, mówiąc „wiosłuj pan szybciej tę zupkę!”. A nad wszystkim czuwali franciszkanie, aby utrzymać porządek.

„Wiosłowałem” więc szybko i gnałem do szkoły. Większość z nas nie miała początkowo podręczników, bo ich jeszcze nie zdążono wydrukować, a stare, przedwojenne i w ogóle polskie książki Niemcy gdzie mogli niszczyli, przeważnie paląc w ogniu. Dopiero gdy ukończyliśmy II klasę, po feriach, już w III klasie, dotarły do nas nowe podręczniki i byliśmy nimi zachwyceni, szczęśliwi, że nie musimy wszystkiego zapisywać, bo wreszcie mamy książki.

Jednym z jasnych momentów w tym czasie było dla mnie harcerstwo. W naszym gimnazjum działała II drużyna, nosząca żółte chusty. Z miejsca się zapisałem i niedzielne zbiórki mojego zastępu i drużyny były wielką przyjemnością. Wiosną zdobyłem też stopień wywiadowcy, z zapamiętaną próbą topografii na Kopcu Kościuszki i wędrownką po Plantach w ślad za wyznaczonymi kredą znakami orientacyjnymi. Cudne to było i z tego względu w miarę szybko poznałem uliczki i ulice Krakowa.

Na zawsze też zapamiętałem pierwsze dni maja 1946 roku. Uroczystości zaczęły się oczywiście 1 maja od wojskowej defilady, a potem robotniczego pochodu pierwszomajowego z czerwonymi flagami. W szkole powiedziano nam, że nasza drużyna harcer-

ska weźmie nazajutrz udział w manifestacji 3 maja. Po zbiórce w szkole przemaszerowaliśmy czwórkami przez Mały Rynek, a następnie ulicą Floriańską i Plantami pod Uniwersytet Jagielloński, gdzie formował się pochód. Na czele z biało-czerwonymi flagami szli studenci, a dopiero za nimi harcerze. Plantami w stronę ulicy Karmelickiej, spokojnie, śpiewając harcerskie i powstańcze piosenki. Tłum na chodnikach bił nam brawo. Krzyczano „Wiwat Trzeci Maj!”. Szybko jednak, bo już przy Karmelickiej, tam gdzie było kino Skala, zatrzymano pochód. Doszły do nas krzyki, gwizdy i dowiedziliśmy się, że milicja bije studentów. Drużynowy rozkazał rozejść się i iść do domu. Poszliśmy jednak pod Skalę i zobaczyliśmy bijatykę. Studenci w białych czapkach Bratniaka bronili się przed pałującymi ich milicjantami. Jedni uciekali, inni wyrwali deski z parkowych ławek i stawiali opór. Nagle jednak powstał tumult i wszyscy zaczęli uciekać przed strumieniami wody z sikawek. My również, w ulicę Szewską, która była obstawiona przez milicjantów, ale pozwalano uciekać w kierunku Rynku Głównego. A nikomu przedostać się w stronę bijatyki z milicją na Karmelickiej. Wtedy też po raz pierwszy w Polsce, w PRL-u, zetknąłem się z przemocą! Polska wcale nie była więc taka wolna, jak to nam się wydawało. I tylko 1 maja jako święto klasy robotniczej można było świętować, a nie tak jak za sanacji rocznicę uchwalenia jakiegś tam szlachcko-burżuazyjnej konstytucji. Gorzko mi się zrobiło, bo mocno tkwiły mi w pamięci piękne wojskowe defilady w Stanisławowie w dniu 3 maja!

W maju ojciec postanowił przenieść się z Krakowa na Ziemię Zachodnie. W Krakowie mieliśmy marne warunki mieszkaniowe i słabo się ojcu mimo ciężkiej pracy powodziło. W dodatku bardzo często zatrzymywali się u nas, w niedużym mieszkaniu na Grodzkiej, przejezdni repatrianci ze Stanisławowa. Nie tylko krewni, jak Hickiewiczowie, ale przyjaciele i bliscy znajomi. Bywało, że i po kilka osób spało u nas na podłodze w dalszej drodze do Gliwic, Opola, Wrocławia i Jeleniej Góry. To były bowiem główne kierunki dla stanisławowiaków. I właśnie z Opola przy-

szedł do nas sygnał, bo tam wylądowało ich najwięcej. Były dyrektor Kasy Chorych w Stanisławowie, pan Fikus, dowiedział się, że jesteśmy w Krakowie i powiadomił ojca, aby jak najszybciej przyjechał zobaczyć, co mu proponuje. W kilkudziesięciotyśmicy po wojnie Opolu było wtedy zaledwie kilku lekarzy. Sami przyjezdni Polacy, również ze Stanisławowa. Ani jednego Niemca, bo wszyscy uciekli. Ojciec pojechał na zwiady i wrócił zachwycony. Zaproponowano mu bowiem piękne sześciopokojowe, umeblowane mieszkanie ponemieckie w samym centrum miasta. Warunki, które wreszcie pozwalały na to, aby ściągnąć mamę Katinę do Polski. W dodatku w Opolu odnalazł przyjaciół i bliskich znajomych z seniorem lekarzy Stanisławowa – dr. Ferensiewiczem na czele.

Spakowaliśmy się błyskawicznie i na początku czerwca wyjechaliśmy do Opola wraz z Bronią, jej matką oraz synkiem. Ledwo zdążyłem dostać w szkole świadectwo, że wprawdzie nie ukończyłem jeszcze III klasy gimnazjalnej, ale z dobrymi stopniami przed zakończeniem roku. Ani jednej dwójki! Było to dobre przekazanie do szkoły w Opolu, gdzie za 3 tygodnie miałem ukończyć III klasę. Żegnaliśmy się z Krakowem bez żalu, bo nie było nam łatwo, ale z pełną świadomością serdeczności wobec nas, repatriantów, którzy utracili domy. Kraków był dla nas sercem odzyskanej Polski.

Wydawnictwo Studio Emka obchodzi w tym roku szczególną rocznicę, bowiem istnieje i działa z powodzeniem już od 30 lat. Wiele z książek zyskało niebывałą popularność, ponieważ z rzadką przenikliwością wskazują źródła problemów społecznych. Uczą nas je rozumieć i rozwiązywać. Dziś w Polsce wyjątkowo trafiają w czas. Jednak to, co cieszy najbardziej, to przekonanie, że książki Studia Emka trafiają do ludzi i są im potrzebne. Że są dla wielu z nich książkami ważnymi, lekturami „na miarę czasu”. One uczą żyć i być – w rodzinie, w gronie przyjaciół i w biznesie. Najlichniesza studioemkowska publiczność czytelnicza pochodzi ze świata biznesu. Nasze książki mają wspierać menedżerów i przedsiębiorców w działaniu. Popularyzują, w sposób znakomity, wiedzę ekonomiczną. Bo EMKI ambicją było i jest wpisywanie się z naszymi publikacjami w program edukacyjny społeczeństwa, a dewizą – tworzenie i publikowanie książek stojących blisko życia i ludzi.

Franciszek Haber

Ulica Romanowicza

Ulica Romanowicza biegnie od placu Akademickiego do ulicy Żyblikowicza i jest jak gdyby przedłużeniem ulicy Akademickiej. Kiedy zaczęto porządkować śródmieście Lwowa, zaczęły powstawać nowe ciągi komunikacyjne. Jeszcze w 1871 roku był tu szlak turystyczny wzdłuż rzeki Soroka. Do niej wpadała rzeczka Pasieka płynąca z lasu Węglińskich, który właściciele nazwali Pohulanka, i tworzyła na placu Akademickim rzekę Pełtew, spływającą w kierunku ulicy Akademickiej. Pod koniec XIX wieku rzeczki zapadły się, tzn. popłynęły podziemnym kanałem. Turystyczna ścieżka zamieniła się w ulicę Ścieżkową. Kiedyś na początku ulicy Ścieżkowej był most nad Soroką i stał na nim św. Jan Nepomucen opiekun mostu, chronił miasto przed powodzią. Domy z ulicy Mikołaja miały po tej stronie płoty i furtki, które wyprowadzały mieszkańców z podwórek na łące kładki przez Sorokę. W 1905 roku ulica Ścieżkowa została przemianowana na ulicę Tadeusza Romanowicza. I już przed pierwszą wojną

światową była dobrze funkcjonującą arterią. W maju 1942 roku okupant przemianował ją na Alleenstrasse, od lipca 1944 ponownie była Romanowicza, a od grudnia 1944 nazwę zmieniono na Panasa Saksahańskiego, ukraińskiego aktora, reżysera i dramaturga.

Polski patron ulicy, Tadeusz Romanowicz (1843–1904), był literatem, posłem na galicyjski Sejm Krajowy i do austriackiej Rady Państwa, był przywódcą galicyjskich demokratów, powstańcem styczniowym oraz więźniem Ołomuńca. W latach 1895–1903 był redaktorem naczelnym „Słowa Polskiego” we Lwowie. Zmarł nagle i został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim na koszt miasta. W nekrologu „Kuriera Lwowskiego” napisano, że... *miął charakter czysty, bez skazy i cienia, ... obywatel zasłużony jak mało u nas kto...*

Romanowicza nr 1 to modernistyczna kamienica, zaprojektowana przez Alfreda Zachariewicza i Józefa Sosnowskiego (1907), opisana została w eseju *Ulica Łozińskiego*. Należała ona do inżyniera Stefana Łupińskiego.

Kamienice nr 2 podobnie jak nr 4 należały do Anny Schrimpf. Na ścianie domu nr 2 umieszczona jest wielka płaskorzeźba (T. Bryż – 1979) upamiętniająca demonstrację bezrobotnych (14.04.1936), podczas której zginął Władysław Kozak. Jego pogrzeb stał się burzliwą manifestacją, z aktami wandalizmu, doszło do starć z policją, zginęło wtedy ok. 48 osób, które pochowano we wspólnej mogile na cmentarzu Janowskim. W kamienicy nr 4 mieszkał czasowo dr Stanisław Teppa, neurolog z Kliniki Neurologii UJK, uratował się z zawieruchy wojennej, ekspatriowany trafił do Wrocławia. Po wojnie był ordynatorem Oddziału Neurologicznego Szpitala Wojewódzkiego im. Babińskiego we Wrocławiu. Stanisław Teppa był także znany miłośnikiem muzyki klasycznej.

Kamienice nr 3, 5 i 7 zbudowano w stylu neorenesansowym i neoklasycystycznym (1911) według projektu Michała Łużeckiego. Kamienica nr 3 przytłacza swoją trzypiętrową fasadą. Elewacja wyłożona piaskowcem.



Tadeusz Romanowicz (1843–1904),
domena publiczna



Barykada – Lwów (16.04.1936), zamieszki w czasie pogrzebu Władysława Kozaka, domena publiczna

Po obu jej stronach balkony pierwszego piętra obejmują całą szerokość frontonu. Natomiast balkony drugiego i trzeciego piętra (z lewej pojedyncze, z prawej tworzące pary) posiadają kamienne tralki, nad nimi wznosi się masywna attyka. Kamienne laskowania tworzą podziały okien pierwszego i drugiego piętra. Na fasadzie znajduje się tablica upamiętniająca profesora i rektora Politechniki Lwowskiej sławnego geodetę Kaspra Weigla (1880–1941), który razem ze swoim synem Józefem, prawnikiem, i innymi lwowskimi profesorami i ich rodzinami zginął na Wzgórzach Wuleckich. Właścicielem domu był profesor UJK dr Roman Rencki (1867–1941), dziekan Wydziału Lekarskiego (1924–1926), kierownik Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Powszechnego (1897–1920). Emeryt od 1939 roku, aresztowany przez NKWD, więziony do wojny niemiecko-sowieckiej, uniknął śmierci, salwując się ucieczką wraz z księdzem Rafałem Kiernickim, z okrytego złą sławą więzienia *Brygidki*, ale w nocy z 3/4 lipca 1941 roku został ponownie aresztowany i zamordowany wraz z grupą 25 profesorów i członków ich rodzin na Wzgórzach Wuleckich. Miał liczne grono uczniów. Jednym z nich był profesor Jan Grek (profesor w Klinice Chorób Wewnętrznych UJK we Lwowie). Zaslugą Romana Renckiego była rozbudowa uzdrowiska Morszyn i wybudowanie tamże nowoczesnego Domu Zdrojowego. Lokatorami tego domu byli przeważnie przedstawiciele świata medycznego.

Kamienica nr 5 należała do hrabiego Stanisława Stadnickiego. Fasadę ozdabia portyk z czterech kolumn doryckich wspie-

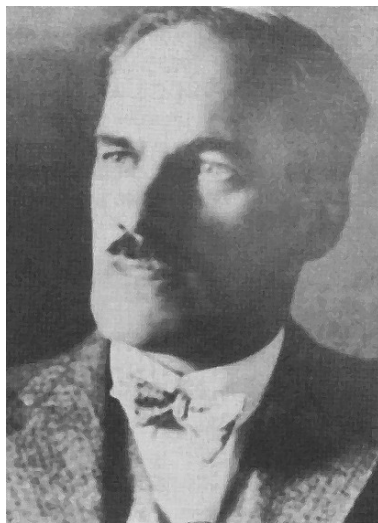
rających balkon i piętra. Parapety drugiego piętra podparte są balaskami. Pilastry międzyokienne drugiego i trzeciego piętra tworzą rytmiczne podziały fasady. Także balkony wszystkich pięter zdobią secesyjne, ażurowe balustrady. Gzyms dachowy zdobny w masywne stiuki. Dzisiaj reklamuje się Prywatne Towarzystwo Akcyjne „Skarbnica”. Przed pierwszą wojną światową mieszkał tu profesor Jan Raczyński (1865–1918), dyrektor Szpitala Dziecięcego

św. Zofii, pediatra, z żoną Marią Pareńską, córką Stanisława Pareńskiego, krakowskiego lekarza i profesora UJ, uwiecznioną przez Wyspiańskiego w dramacie *Wesele* pod postacią Maryny. Miała dwójkę dzieci syna i córkę. Po śmierci męża i nieudanym, krótkim małżeństwie z rosyjskim porucznikiem Romanem Jasieńskim, została żoną profesora Jana Greka. Była, podobnie jak siostra Zofia, żona Tadeusza Boya-Żeleńskiego (1874–1941), jedną z najbardziej znanych muz okresu *Młodej Polski*. Mieszkał tu także profesor UJK Tadeusz Ostrowski (1881–1941), ordynator oddziału Chirurgii Dziecięcego Szpitala św. Zofii, kierownik Kliniki Chirurgicznej, słynny chirurg, dziekan oraz przewodniczący Rady Wydziału



Roman Rencki (1867–1941), domena publiczna

Lekarskiego UJK, Prezes Towarzystwa Chirurgów Polskich, Prezes Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego. W Klinice Chirurgicznej stworzył fundamenty rozwoju ortopedii i torakochirurgii. W tamtych czasach był to bardzo ważny ośrodek w Polsce. Tadeusz Ostrowski był kolekcjonerem dzieł sztuki, tatarnikiem, jednym z założycieli pierwszego w Polsce Akademickiego Klubu Turystycznego, a także jednym z założycieli (był nim także Władysław Sikorski) Związku Strzeleckiego (1910). W czasie okupacji sowieckiej Ostrowscy przyjęli do swojego 7-pokojowego mieszkania zaprzyjaźnioną 3-osobową rodzinę Stanisława Ruffa (1872–1941), chirurga, ordynatora oddziału chirurgicznego Szpitala Lwowskiej Gminy Izraelickiej we Lwowie, prezesa Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego (1936), gdyż ich mieszkanie na ulicy Słowackiego zostało zrujnowane podczas bombardowania miasta. W czasie wojny księżna Cecylia Jabłonowska, znając Ostrowskich, zdeponowała u nich rodową biżuterię, a także trafiło tam dla zabezpieczenia 30 obrazów hrabiów Badenich, które jako dar miały być przekazane na zamek królewski na Wawelu. Profesor Tadeusz Ostrowski został aresztowany wraz z żoną Jadwigą, profesorem Stanisławem Ruffem, jego żoną Anną i synem Adamem, księdzem Władysławem Komornickim (jego brat był mężem jednej z córek Ostrowskiej z poprzedniego małżeństwa), pielęgniarką z Ubezpieczalni Społecznej Marią Reymanową, lektorką języka angielskiego Kathy Demko oraz służbą. Po aresztowaniach na ulicy Romanowicza w grabieży mieszkań profesorów kluczową rolę odegrał Holender Pieter Nicolas van Menten (1899–1987), oszust i zbrodniarz, który był tutaj zapraszany na salony, gdzie miał okazję zaznajomienia się ze zbiorami profesorów z ulicy Romanowicza. Pojawił się on we Lwowie około roku 1930 z racji pełnienia przez jego brata Dirka Mentena funkcji konsula holenderskiego przy ulicy Mickiewicza nr 10. Menten znany był jako



Kasper Weigl (1880–1941), domena publiczna

importer drewna, kupiec (handlarz) także dzieł sztuki. Już przed wojną miał sprawę sądową za oszustwo. Był też aresztowany pod zarzutem szpiegostwa (1939). Podczas wojny znalazł się w Krakowie (1940), gdzie prowadził różne interesy i, mając konszachty z Niemcami, został wciągnięty na listę rzeczoznawców i doradców ekonomicznych. Menten pośrednio brał udział w zbrodni na Wzgórzach Wuleckich, gdyż był tłumaczem w czasie przesłuchań (znał dobrze język polski) w Bursie Abrahamowiczów, dawnej szkole kadetów nieopodal cytadeli, zajętej przez Sicherheidstienst (Służbę Bezpieczeństwa), gdzie trafili aresztowani w nocy 3/4 lipca 1941 roku. Menten wprowadził się do



Więzienie „Bygidki” (Gródecka 18/20) – zdj. Hubner 1941, domena publiczna



Profesor Jan Raczyński (1865–1918), portret, domena publiczna



Profesor Adam Bednarski (1869–1941), domena publiczna

mieszkania Ostrowskich (przejętego z mieniem). Od razu część wyposażenia została wywieziona do Krakowa. W 1977 roku sąd w Amsterdamie skazał go na 15, po apelacji na 10 lat więzienia za udział w morderstwach w Podhorodcach, ale nie za zbrodnię na Wzgórzach Wuleckich. Zwolniony z więzienia (1985) zmarł dwa lata później w domu opieki w Holandii. W tej kamienicy mieszkali także profesor dr Adam Bednarski (1869–1941), okulista, kierownik Od-

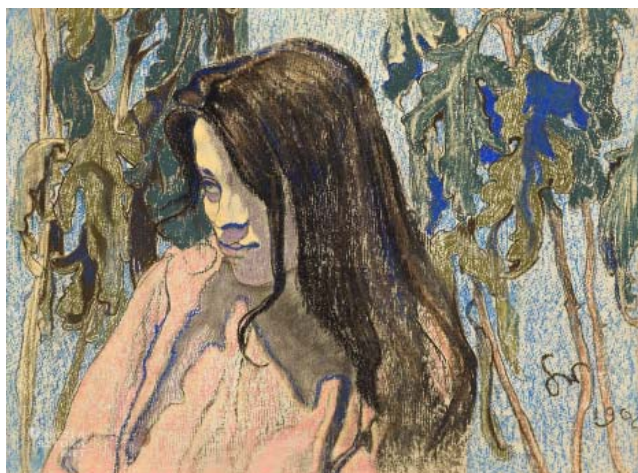
działu Okulistyki Szpitala Dziecięcego św. Zofii (1904–1922), dziekan Wydziału Lekarskiego UJK (1921), kierownik Kliniki Okulistycznej (1922–1941), prezes Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego; dr Roman Däum pracownik Zakładu Anatomii Opisowej UJK. Mieszkał także w latach 1931–1936 wybitny reżyser teatralny Wilam Horzyca wł. Wilhelm Hořitza (1889–1959), który w 1936 roku wyjechał ze Lwowa do Warszawy.

Kamienica nr 7 zaprojektowana została przez architekta Edwarda Żychowicza. Czterokondygnacyjna, w neoklasycznej rustyce sięgającej trzeciego piętra. Po obu stronach fasady na okazałych wspornikach leżą kamienne balkony z balaskami. Środkowe trzy okna pierwszego piętra tworzą biforia z ślepyimi maswerkami. Dwuskrzydłowa brama cofnięta w płytki i smukły portal. Mieszkał tutaj profesor Jan Grek z żoną Maryną z Pareńskich, zajmowali całe I piętro. Profesor Jan Grek (1875–1941) był internistą, histologiem, patologiem, profesorem Kliniki Chorób Wewnętrznych UJK, prezesem Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego (1926). Od 10 września 1939 roku mieszkał z nimi Tadeusz Boy-Żeleński. Profesor Jan Grek był szwagrem Tadeusza Boya-Żeleńskiego (żona Boya Zofia była siostrą żony doktora). Profesor, zanim Boy objął katedrę literatury francuskiej, umieścił szwagra na etacie lekarza w klinice dziecięcej prof. Franciszka Groëra na oddziale profesora Stanisława Progulskiego. Jan Grek



Profesor Tadeusz Ostrowski (1881–1941), domena publiczna

był wytrawnym znawcą sztuki. Niestety bezcenny zbiór mistrzów polskiego malarstwa przypadł w łapach okupanta. W tej kamienicy również mieszkał Władysław Dobrzaniecki (1897–1941), ordynator Oddziału Chirurgicznego Państwowego Szpitala Powszechnego oraz Oddziału Chirurgii Szpitala Dziecięcego św. Zofii, od 1938 roku profesor chirurgii UJK. Był prekursorem chirurgii plastycznej i estetycznej w Polsce. Z nim zaaresztowano Tadeusza Tapkowskiego (dra praw, przyjaciela gospodarza)



Maria Pareńska – malował Stanisław Wyspiański, domena publiczna

i Eugeniusza Kosteckiego, męża gospodyni profesora. Mieszkanie po nim zajęli Ukraińcy dr Wołodymyr Wreciono, brat Jewhena Wreciono, komendanta ukraińskiej policji we Lwowie, którego przyjacielem był Pieter Nicolas Menten. W tym domu mieszkał także profesor położnictwa i ginekologii Adam Sołowij (1859–1941). Pracował w Krajowym Szpitalu Powszechnym przy Piekarskiej 4, zbudowanym w 1895 roku. Profesor Adam Sołowij był prezesem Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego (1902–1903), kierownikiem Oddziału Ginekologiczno-Położniczego, dyrektorem Szkoły Położnych, prezesem Lwowskiego Towarzystwa Ginekologicznego (1936–1939). Ponadto był zapalonym myśliwym, kolekcjonował wschodnie dywany i wspierał Czytelnię Akademicką na ulicy Łozińskiego nr 7. Był najstarszym zamordowanym na Wzgórzach Wuleckich profesorem, z którym zginął jego 19-letni wnuk Adam Mięśowicz. Wielu profesorów medycyny mieszkało przy ulicy Romanowicza, jednej z najzamożniejszych ulic Lwowa. Gestapo posiadało listy adresów sporządzone przez byłych studentów ukraińskich. Ta lista proskrypcyjna, według której odbywały się aresztowania, nazywana była przez Niemców „ukraińska”. Aresztowanych zawożono do tymczasowej siedziby Gestapo, tj. do Bursy Abrahamowiczów. Nad ranem wprowadzono ich w grupach i rozstrzelano na Wzgórzach Wuleckich. Kiedy zbliżała się ofensywa radziecka, okupant niemiecki roz-

począł zacierać śladów bestialskich morderstw. Na Wzgórzach Wuleckich Sonderkommando 1005, utworzone z Żydów obozu Janowskiego, odkopało ciała (8 października 1943), które zostały spalone, a prochy rozsypało na polach i okolicznych lasach. Opisał



Wilam Horzyca (1889–1959), domena publiczna



Profesor Jan Grek (1875–1941), domena publiczna



Profesor Władysław Dobrzański (1897–1941), domena publiczna



Profesor Adam Sołowij (1959–1941), domena publiczna

to jeden z nielicznych uratowanych z obozu Janowskiego, Leon Weliczker w swojej książce *Brygada śmierci*.

Kamienica nr 6 należała do dra Zbigniewa Rychłowskiego i inżyniera Władysława Jakubowskiego. Ten na wskroś modernistyczny, pięciopiętrowy budynek z falującą elewacją, zaprojektowany został w stylu konstruktywizmu przez Zbigniewa Wardzałę i Adama Kuryłkę (1938). Był Domem Notariuszy. Podobnie dzisiaj jest to budynek notariatu. Parter zajmuje sklep z odzieżą.

Właścicielem kamienicy nr 8 był architekt Mieczysław Stadler. Według wykazu właścicieli nieruchomości na 1939 rok dom nr 8 należał już do Karola Büschela. To pięciopiętrowy dom zaprojektowany przez Mariana Nikodemowicza (1890–1952), Ormianina z pochodzenia, budowany w latach 1928–1930. Architekt Marian Nikodemowicz, wykładowca (1914–1936), później docent Politechniki Lwowskiej do 1950 roku. Od 1927 roku posiadał własne biuro architektoniczne. Fasadą z kamiennymi trójkątnymi balkonami ma wyraźnie charakter modernistyczny. Mieszkał

tutaj Kazimierz Szumowski (1901–1941), laryngolog (docent UJK), zamordowany (25 czerwca 1941) w więzieniu na ulicy Łackiego. Mieszkał tu od niedawna profesor UJK Franciszek Groër (1887–1965), który przeprowadził się z ulicy Paderewskiego. Został on zaarrestowany przez Niemców w nocy 3 lipca 1941 roku w gronie kilkudziesięciu polskich profesorów wyższych uczelni Lwowa; uwolniony jako jedyny z grupy profesorów zamordowanych tej nocy na Wzgórzach Wuleckich. Więcej o nim piszę w eseju *Ulica Łozińskiego*.

Ulica Romanowicza zdj. z tygodnika „Stolica” nr 50/51–1974, domena publiczna

Tadeusz Boy-Żeleński (1874–1941), domena publiczna



Właścicielem kamienicy nr 8 był architekt Mieczysław Stadler. Według wykazu właścicieli nieruchomości na 1939 rok dom nr 8 należał już do Karola Büschela. To pięciopiętrowy dom zaprojektowany przez Mariana Nikodemowicza (1890–1952), Ormianina z pochodzenia, budowany w latach 1928–1930. Architekt Marian Nikodemowicz, wykładowca (1914–1936), później docent Politechniki Lwowskiej do 1950 roku. Od 1927 roku posiadał własne biuro architektoniczne. Fasadą z kamiennymi trójkątnymi balkonami ma wyraźnie charakter modernistyczny. Mieszkał



Witraż okienny w kamienicy na ulicy Romanowicza 7, domena publiczna



Secesyjna kamienica nr 9 wybudowana została w 1911 roku według projektu Alfreda Zachariewicza (1887–1937), przedstawiciela historyzmu, profesora i rektora Politechniki Lwowskiej, konserwatora zabytków. Jest on autorem projektu gmachu głównego Politechniki Lwowskiej nazywanego „Macierzą polskich politechnik”, autorem wielu gmachów publicznych, np. budynku Galicyjskiej Kasy Oszczędności na rogu ulic Jagiellońskiej i Legionów, oraz prywatnych rezydencji lwowskich. Bliźniacze wykusze fasady łączy balkon drugiego piętra. Attykę zdobią maskarony autorstwa Zygmunta

Zwłoki ofiar NKWD – więzienie przy ul. Łąckiego – 1941, domena publiczna



Kurczyńskiego. Także jego rzeźby dekorują balkony. Było tutaj biuro naftowe profesora dra Romana Longchamps de Berier (1883–1941), który wraz z trzema synami: Bronisławem (lat 25), Zygmunt (lat 23) – absolwentami Politechniki Lwowskiej oraz Kazimierzem (lat 18), absolwentem liceum, zostali aresztowani feralnej nocy 3/4 lipca



1941 roku i wraz z innymi naukowcami zamordowani na Wzgórzach Wuleckich. Profesor Roman Longchamps de Berier był obrońcą Lwowa (1918), kierownikiem Katedry Prawa Cywilnego, prorektorem UJK (1938–1939) i jego rektorem (1939–1941). Był jednym z najwybitniejszych cywilistów polskich w historii. Budynek przytulił również do swoich pomieszczeń książki, gdyż Bolesław Jaroszewski miał tutaj antykwariat. Przed pierwszą wojną światową urzędował tu Krajowy Związek Zdrojowisk i Uzdrowisk oraz Karpackie Towarzystwo Narciarzy. Właścicielami kamienicy byli Fanny i Azriel (kupiec) Katzowie. Dzisiaj parter zajmują sklepy z odzieżą – *Modern* i *Porsche Design*.

Kamienica nr 11, czteropiętrowa, zbudowana w stylu neobarokowym w 1911 roku, według projektu Włodzimierza Podhorodeckiego (1859–1923). Była własnością dra Leona Nadela, adwokata, i Zuzanny Landes. Kuta dwuskrzydłowa brama, flankowana podwójnymi kolumnami na postumentach. Rzeźby Atlantów (dłuta Piotra Wojtowicza) z balkonu pierwszego piętra wspierają balkon drugiego piętra, z którego bieżą korynckie kolumny podpierające mansardowy wykusz czwartego piętra z oknem biforium. Podobnie duże okna fasady imitują biforia z bogatymi nadokiennymi zdobieniami. Wszystkie balkony posiadają metalowe, secesyjne balustrady. Narożny wykusz wieńczy balkon drugiego piętra. Na parterze sklep Dom Mody *Molinari* oraz kawiarnia *Nektar*. To piękna kamienica, ozdoba ulic Romanowicza i Senatorskiej. Mieszkał tu wybitny historyk sztuki profesor Jan Bołoz Antoniewicz

Professor Roman Longchamps de Berier (1883–1941); domena publiczna



(1858–1922), nazywany „Ormianinem o polskim sercu”. Profesor Lwowskiego Uniwersytetu, od 1898 roku, kierownik Katedry Historii Sztuki Nowożytnej, dziekan Wydziału Filozoficznego (1902/1903), konserwator zabytków sztuki w Urzędzie Konserwatorskim we Lwowie (1894–1918). Prezes Polskiego Związku Historyków Sztuki (od 1920). Ogłosił ponad

130 prac naukowych. Było w tym domu znane studio fotograficzne *Venus*, prowadzone przez rodzinę Huberów. Po śmierci Zofii (1935), żony Rudolfa, przeniesione na ulicę Fredry nr 6, gdzie prowadził je ojciec razem z córką Zofią Huberówną.

Na rogu Romanowicza i Dulębianki (nazwa ulicy od 1934 roku) stoi kamienica nr 10, zbudowana w 1913 roku. Zaprojektował ją znany lwowski architekt Tadeusz Obmiński (1874–1932), profesor i rektor Politechniki Lwowskiej, autor wielu znanych budynków secesyjnych i willi w stylu zakopiańskim miasta Lwowa. Kamienica ta stanowi przy-

kład późnej secesji. Wracając do nazwy bocznej uliczki, dzisiaj bezimiennej, bo jej kamienice noszą adresy ulic przyległych, Maria Dulębianka (1858–1919), malarka, pisarka, publicystka, feministka (partnerka życiowa Marii Konopnickiej), była oddaną działaczką społeczną. Była uczestnikiem obrony Lwowa (1918), inspiratorką zakładania ochronek dla dzieci oraz kuchni dla biednych. Wysłanniczka Czerwonego Krzyża, w czasie inspekcji obozów ukraińskich dla polskich jeńców i internowanych, zaraziła się tyfusem i zmarła (8 marca 1919). Najpierw pochowana w grobowcu Marii Konopnickiej, potem przeniesiona do grobu obrońców Lwowa (1927). Odznaczona Krzyżem Niepodległości (1930). W tej kamienicy mieszkał stomatolog Gustaw Bruchnalski (1894–1940), legionista, major Wojska Polskiego, zamordowany przez Sowietów w więzieniu na ul. Łąckiego. Było tu także biuro reklamy firmy *Orbis*. Właścicielem kamienicy był Józef Josefsberg. Dzisiaj siedzibę tam mają *Pałac Piękności* i *Delta Bank*.

Kamienica nr 11a (feralna 13), obecnie nr 13, zbudowana dla Prokuratorii Generalnej oraz Inspektoratu Armii w latach 1913–1921, według projektów wiedeńskich przez firmę Michała Ulama (1879–1938) znanego lwowskiego inżyniera budowlanego i architekta, zdobiona neorenesansowymi attykami oraz wyrazistą rustyką parteru. Nad bramą wjazdową od ulicy Zyblikiewicza kamienna balustrada podokienna z tralkami. Cofnięta fasada nad bramą wejściową od Romanowicza tworzy balkon pierwszego piętra zdobiony kamienną balustradą. Nad balkonem bogaty stiukowy podokiennik drugiego piętra. Zwornik nad bramą jest w formie maskaronu. To ogromny gmach na ulicach Romanowicza 13 i Zyblikiewicza 10 (Franki 30). Miesił się tutaj Inspektorat Armii we Lwowie i należał generalnie do wojskowości. Miał tutaj prywatne mieszkanie Juliusz Römmel, generał dywizji, inspektor armii. Dzisiaj też należy do wojskowości. Mieści się tutaj Ósmy Apelacyjny Sąd Administracyjny. Gmach ten sąsiaduje z kamienicą Zyblikiewicza nr 8 (Franki 28); było to Liceum Żeńskie im. Adama Mickiewicza, którego rzeźba do dzisiaj zdobi fasadę pierwszego piętra. Zostało ono wybudowane dla pedagoga Józefa Gołąb (1837–1903), radny Miasta Lwowa,



miejski inspektor budowlany. Liceum prowadziła Olga Żychowiczowa, córka Parysa Filippiego rzeźbiarza i żona architekta Edmunda Żychowicza. Absolwentką tego liceum była znana aktorka Ryszarda Hanin (1919–1994).

Narożny dom Romanowicza nr 12 ma wejście od ulicy Dułębianski. To modernistyczna czterokondygnacyjna kamienica z balkonami drugiego i trzeciego piętra. Na parterze sklep z wyposażeniem dla kuchni. Właścicielką kamienicy była Ida Fell.

Kamienica nr 14 jest dwupiętrowa, a właścicielem był Michał Weingarten (kupiec). Parter zajmuje firma *Komandor* – szafy na wymiar. W środku fasady balkon pierwszego piętra, klasycyzujące zdobienia fasady i okien.

Kamienica nr 16 jest dwupiętrowa, podobnie jak pozostałe kamienice 18, 20 i 22. Partery wszystkich fasad w tych budynkach ozdobione są rustyką. Pierwsze piętra tych domów posiadają balkony. Tu mieszkał i zmarł Tadeusz Romanowicz patron ulicy. Także zacnymi mieszkańcami pod nr 16 było hrabiostwo Stefania Łoś właścicielka dóbr i Jerzy Łoś urzędnik bankowy. W latach 30. dom należał do Galicyjskiego Towarzystwa Aptekarskiego. Właścicielem kamienicy nr 18 był Włodzimierz, radca sądowy, i Helena Rojeczy. Właścicielką kamienicy nr 20 była Maria Kobyłańska, wdowa. Mieszkał tu Ludwik Stachiewicz, wicedyrektor Banku Krajowego, oraz Stefania Marynowicz – aktorka. Kamienica nr 22 należała do Iriny Jültes. Mieszkał tu kwesor UJK Józef Malec, który wdrożył i udoskonalił sposób zarządzania kwesturą uczelni. Za zasługi dla uczelni został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Warto na chwilę wrócić na ulicę Paderewskiego (Stećki) do kamienic nr 11 i 13, które znajdują się u wylotu na ulicę Romanowicza. Zostały one zbudowane w stylu funkcjonalizmu z uproszczoną ornamentyką fasady, według projektu architekta Eugeniusza Czerwińskiego (1887–1930), docenta Politechniki Lwowskiej, współpracującego z takimi architektami Lwowa jak: Alfred Zacha-

riewicz, Józef Sosnowski, Jan Lewiński czy Marian Nikodemowicz. Kamienica nr 13, jest budowlą z solidnie przeszklonym wykuszem zwieńczonym balkonem piątego piętra, sięgającym attyki w formie czterookiennego tympanonu. W zmarłym przedwcześnie architekcie Lwów utracił wybitnie zdolnego projektanta. Budynek dzisiaj zajmuje Sąd Administracyjny.

Pisząc o ulicy Romanowicza, można czytelnikom zadać pytanie, gdzie przy tej ulicy mieścił się Zakład Fryzjerski Stanisława Haasa, który znajduje się na zdjęciu.

... jeszcze na ścieżkach lawenda
i hrabia z pobliskiego dworu
na spaceru ogary wodzi

człapie już srodze
wiek swoje robi
ale tu blisko
bliskie

Soroka toczy wody
w mury miasta
na moście święty

Jan Nepomucen chroni
przed zalewem
jak ten z Buczacza

może jest także
dłuta Pinsela
co na Łyczakowie
żyje w kamieniach

Romanowicz tutaj
ma swoją kwaterę
obywatel miasta
bez cienia...



Zakład Fryzjerski Stanisława Haasa przy ulicy Romanowicza, domena publiczna

Michał Piekarski

Lwowska „Pani Twardowska”

Jedzą, piją, lulki pałą,
 Tańce, hulanka, swawola;
 Ledwie karczmy nie rozwałą,
 Ha, ha! Hi, hi! hejże! hola!

Dokładnie 200 lat temu w Wilnie ukazał się drukiem zbiór *Ballad i romansów* Adama Mickiewicza. Wyznacza on umowną datę dla początków romantyzmu w literaturze polskiej (1822). Wiele spośród ballad doczekało się później opracowania muzycznego. Spośród nich na uwagę zasługuje niemal całkowicie dziś zapomniana kantata *Pani Twardowska* Henryka Melcera z 1896 r.

Twardowski siadł w końcu stoła,
 Podparł się w boki jak basza:
 „Hulaj dusza! hulaj!” woła,
 Śmieczy, tumani, przestrasza.

Kantata wykonana została po raz pierwszy we Lwowie w lutym 1897 r. Prawdopo-

dobnie powstała także we Lwowie. Henryk Melcer (1869–1928) znany był w tym mieście już wcześniej. W latach 1896–1898 prowadził tam klasę fortepianu w Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego. We Lwowie odbyły się prawykonania wielu jego utworów, w tym obydwu koncertów fortepianowych (1896 i 1898). Melcer trwale wpisał się w środowisko muzyczne Lwowa, choć pochodził spoza Galicji. Przyszedł na świat we wsi Marcelin koło Warszawy (obecnie w granicach dzielnicy Białołęka m.st. Warszawy). Po ukończeniu Instytutu Muzycznego w Warszawie kontynuował edukację w Wiedniu pod kierunkiem Teodora Leszetyckiego (znanego wiedeńskiego pedagoga rodem z Łańcuta). Henryk Melcer odznaczał się podobną biografią do Ignacego Jana Paderewskiego jako pianista-wirtuoz, uczeń Leszetyckiego, znany pedagog i bożyszczce wielu kobiet.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
 Kielich zaświstał, zazgrzytał;
 Patrzy na dno: – „Co u licha?
 Po coś tu, kumie, zawitał?”

Kantata *Pani Twardowska* utrzymana jest w duchu neoromantycznym. Jako utwór do słów Mickiewicza wpisuje się w tradycję postmoniuszkowską. Choć Stanisław Moniuszko muzykę do *Pani Twardowskiej* skomponował w 1869 r. (z zastosowaniem krakowiaka ze *Strasznego dworu*), zabrzmiała we Lwowie dopiero w grudniu 1897 r., nieco później od kantaty Melcera. Kantata Melcera przeznaczona jest na chór mieszany, tenor i orkiestrę. Wydany drukiem wyciąg fortepianowy ukazał się w 1956 r. w opracowaniu Stefana Kisielewskiego. W 1897 r. kantata Melcera zabrzmiała pod dyktando kompozytora podczas koncertu Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego. Jak pisano na łamach „Kuriera Lwowskiego”, wykonania kantaty „oczekiwano z naprężonym zajęciem”. W dalszej części relacjonowano: „Kompozycja rozpoczyna się wielce obiecującym, prześlicz-



Henryk Melcer, 1905, źródło: Polona

nym krakowiakiem” (czyli podobnie jak u Moniuszki). Mimo krytycznych uwag recenzenta na temat niektórych ustępów, utwór został uznany za bardzo zajmujący co do formy i bardzo oryginalny. Na koniec recenzent dodawał: „Świetnego muzyka i kompozytora, którego dziś śmiało nazwać można beniaminkiem publiczności lwowskiej, wywołano kilkakrotnie, dając go zasłużonym uznaniem”.

Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy:
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

Pani Twardowska Melcera wykazuje też odmienną od Moniuszki lokalną (galicyjską) specyfikę. Ukazuje przy tym doskonale humor Melcera, który wprowadził melodię znanego w Galicji hymnu (*Volkshymn*, hymn ludowy) „Gott erhalte, Gott beschütze unsern Kaiser, unser Land” („Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj”) w połączeniu ze słowami o wierności – ale już nie Habsburgom, lecz... Pani Twardowskiej („Przysięż jej miłość, szacunek / I posłuszeństwo bez granic”). Cytat ten (choć dziś dla niektórych mniej czytelny) musiał być oczywisty dla ówczesnych słuchaczy. Każdemu świętu państwowemu, czy to w kościele, czy w teatrze, towarzyszyło wykonanie hymnu „Gott erhalte, Gott beschütze”... Możemy sobie wyobrazić, jak z humorem cytat ten przyjęła skora do dowcipu lwowska publiczność. Nic też nie wiadomo o reakcji cenzury, która prawdopodobnie kantatę przeoczyła.

Jeszcze jedno, będzie kwita:
Zaraz pęknie moc czartowska! –
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.

Kantata *Pani Twardowska* po latach zapomnienia zabrzmiała 15 maja 2021 r. podczas Nocy Muzeów w miejscu urodzin

Henryka Melcera na warszawskiej Białolece (Gospodarstwo Rysiny Elżbiety i Zdzisława Majlertów). Odbyło się wówczas otwarcie wystawy „Melcer z Marcelina”, której autorem był piszący te słowa. Kantatę wykonał białolecki chór Ave pod dyrekcją Barbary Hijewskiej, partię tenorową wykonał Andrzej Wiśniewski, przy fortepianie akompaniowała Gabriela Machowska. Przygotowaniem chóru zajął się jego kierownik Bartłomiej Włodkowski. Dzięki temu wydarzeniu kantata Melcera znów mogła zabrzmieć (wykonanie można odnaleźć w internecie). Miejmy nadzieję, że ten wartościowy utwór znajdzie się teraz w repertuarze niejednego chóru. Sprzyja temu uchwalony „Rok Ballad i Romansów”.

Przysięż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamięs choć jeden warunek,
Już cała ugoda na nic.

Marcin Bruchnalski

Kilka słów o rodzinie Bruchnalskich

Moja rodzina, w świetle znanych mi faktów, od zawsze była związana z Kresami, a zwłaszcza ze Lwowem. Pierwszym, noszącym nazwisko Bruchnalski, miałby być żyjący w pierwszej połowie XVIII wieku Fabian. Wcześniejsze dzieje rodziny są niejasne. Moja babka Helena mówiła, że rodzina pochodzi z Saksonii i z Moraw. Potwierdzał to mój stryj Andrzej, dodając, że naszymi protoplastami był ród Herburców, związany z wsią Bruchnal (obecnie Терновиця), położoną 40 km na zachód od Lwowa. Są to jedynie przypuszczenia, gdyż w dostępnych źródłach brak jest jakichkolwiek ogniw łączących. Być może moimi przodkami byli np. sprowadzani, począwszy od XIV wieku, do Bruchnala osadnicy m.in. z Moraw.

Synem Fabiana był urodzony w drugiej połowie XVIII wieku Sebastian, a jego żoną była Maria Motyńska (1782–1854). Następne pokolenie to Antoni Sebastian Fabian ożeniony z Anną Marią „Nancią” z Birtusów. To małżeństwo doczekało się licznego potomstwa; m. inn. Wilhelma i Kazimierza.

Dla znanej mi starszyny rodzinnej znajomość koligacji rodzinnych była oczywistością. Podobnie jak znajomość ich rodzinnego miasta. Dopiero moja matka – Lidia, na podstawie fragmentarycznych zapisków mojej prababki Marii, babki Heleny, i ustnych przekazów jej siostry Stanisławy Klein, w 1998 roku zebrała wszystkie znane fakty i przedstawiła je w formie drzewa genealogicznego.

Wilhelm Adolf Bruchnalski (1859–1938) – był osiłą rodziny w czasach międzywojennych. Historyk i teoretyk literatury polskiej, profesor i dziekan na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, współzałożyciel wychodzącego do dziś *Pamiętnika Literackiego* (Ossolineum). Autor bardzo licznych dzieł naukowych. Cieszył się uznaniem

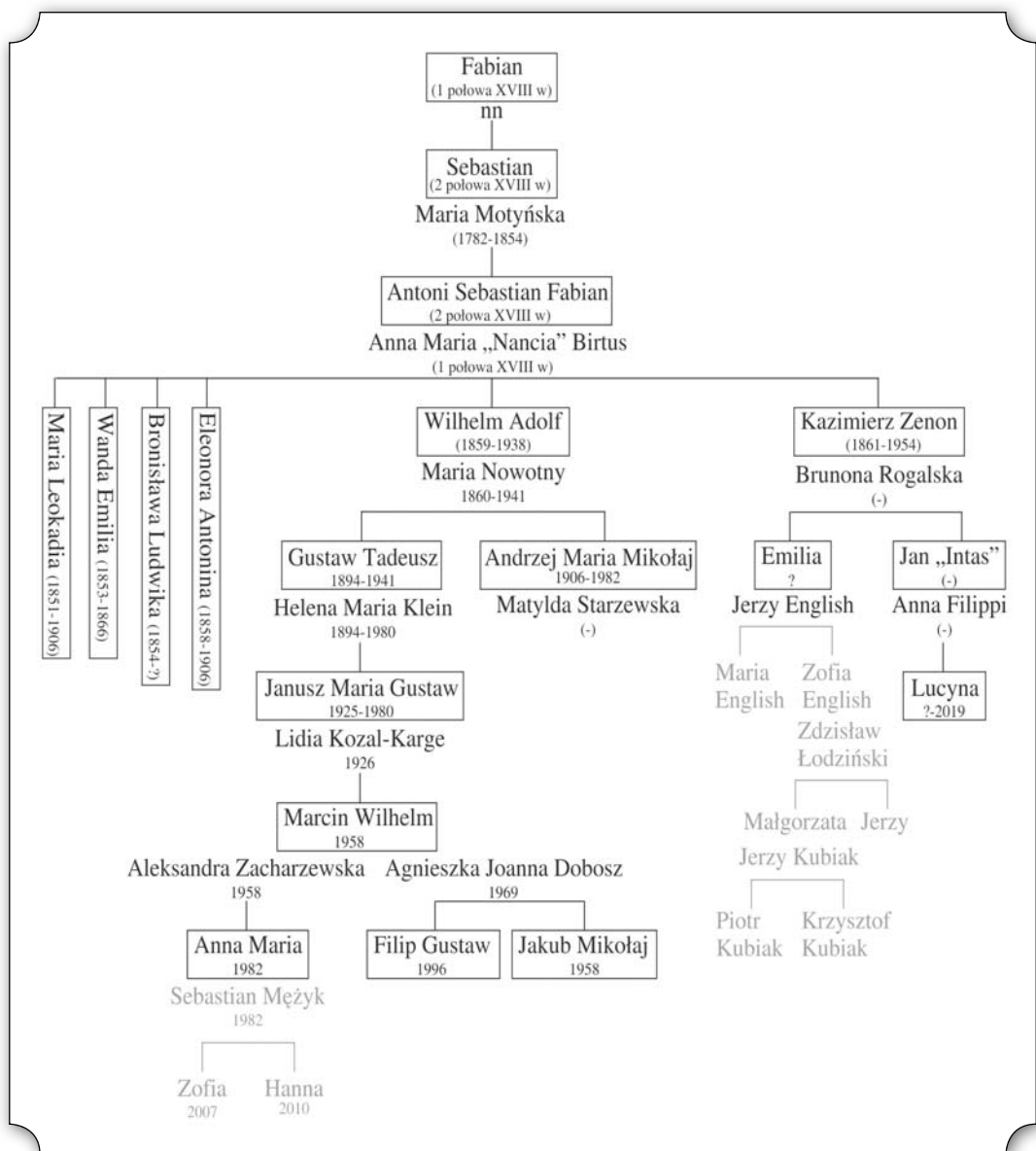
jako najwybitniejszy znawca dzieła Adama Mickiewicza w Polsce międzywojennej. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, określany jako świetny pedagog ceniący indywidualny kontakt ze studentami, dowcipny, otoczony szacunkiem i miłością na uczelni i w domu. Jego dorobek naukowy jest duży i wiele o nim napisano. Biurko ze stosami notatek, przy którym pracował w swoim domu, przeszło do legendy rodzinnej jako miejsce szczególne.

Jego żoną była Maria Bruchnalska z domu Nowotny (1860–1941) – działaczka kobieca i społeczna (m.in. w Zjednoczeniu Polskich Chrześcijańskich Towarzystw Kobiety we Lwowie), była także czynną publicystką i pisarką. Całą swą twórczość, a także aktywność odczytową poświęciła udziałowi kobiet w powstaniach narodowych, w I wojnie światowej oraz w obronie Lwowa (1918–1919). Była też współzałożycielką wraz z Eleonorą Lubomirską Muzeum Zasłużonych Polek we Lwowie (Ossolineum). Jej najbardziej znane książki to: *Ciche bohaterki. Udział kobiet w powstaniu styczniowym* (1933), *Polki w kampanii listopadowej, Cuda Boże nad dziećmi i mieszkańcami Lwowa czasu oblężenia ruskiego r.p. 1918–1919* (Lwów 1921), *Z obrony bohaterskiego Lwowa i Małopolski Wschodniej. Udział ziemianek* (Lwów 1930).

Wiem z relacji mojego ojca, że była osobą niezwykle serdeczną i pełną ciepła. Jej ex libris przedstawiał łabędzicę (pelikana?) skubiącą puch bądź karmiącą własną krwią swoje potomstwo i nosił maksymę *Sine amore lux nequam* (Bez miłości nie ma światła).

Bratem Wilhelma był Kazimierz Zennon Bruchnalski (1861–1954) – jako młody asystent na Politechnice Lwowskiej w 1888 roku został wybrany na stanowisko dyrektora w mającej powstać ck Szkole Ślusarskiej w Świątnikach Górnych. W 1893 stworzył Muzeum Rzemiosła Ślusarskiego. Był też autorem różnych publikacji, w tym m.in. książki dla dzieci *Opowiadania i obrazki z technologii żelaza i innych kruszców* (Towarzystwo Pedagogiczne we Lwowie 1898). Z racji zasług Kazimierza Bruchnalskiego dla Świątnik Górnych jedną z głównych ulic nazwano jego imieniem.

Jego żoną była Brunona Bruchnalska z domu Rogalska, autorka książek dla dzieci i młodzieży publikowanych głównie przez



Lwowskie Towarzystwo Pedagogiczne, m.in. *Nowe prądy: Powieść dla młodzieży* (1900), *Pamiętnik Hani: Powiastka dla młodzieży* (1904), *Widokówki babuni: Powiastki dla dzieci* (1907), *Czytajcie dzieci!* t. I-III, (1908), *Na własnej ziemi. Opowiadania o oszczędności dla młodzieży wiejskiej* (1933).

Pradziadkowie mieli dwóch synów – Gustawa i Andrzeja.

Gustaw Tadeusz Bruchnalski (1894–1941) – był majorem Wojska Polskiego, lekarzem dentystą, byłym legionistą, prezesem (tej funkcji nie jestem pewny) Związku Legionistów we Lwowie. Po zajęciu miasta przez sowiećów w 1939 roku, od listopada działał w ZWZ, wykorzystując swój gabinet jako miejsce łączności konspiracyjnej. Losy mojego dziadka opisuje Bolesław Michał

Nieczuja-Ostrowski w książce *Drogi miłości bożej* (wyd. Gemini, Kraków 1993). 9 lutego 1940 roku został aresztowany przez NKWD i poddany tak brutalnemu śledztwu, że na przesłuchania przynoszono go na noszach. Lwowski Sąd Obwodowy 29 grudnia 1940 r. wydał nań wyrok śmierci. O surowości kary zdecydowała nie tylko działalność w organizacji antysowieckiej, ale także okoliczność, że – jak pisano w sentencji wyroku: *Bruchnalski także w przeszłości prowadził aktywną walkę z klasą robotniczą, będąc w latach 1918–1920 legionistą i kapitanem armii polskiej*. Wyroku jednak oficjalnie nie wykonano. W czerwcu 1941 roku, po zajęciu miasta przez Niemców, więzienie otwarto dla ludności – jednak ciała dziadka tam nie odnaleziono. Moja babka, **Helena Maria Bruchnalska z domu Klein (1894–1941)**, pochodząca z rodziny znanych we Lwowie piwowarów, mających browar na Pohulance, była absolwentką lwowskiego konserwatorium. Po śmierci męża została sama z 14-letnim synem Januszem. Do ich mieszkania dokwaterowano rodzinę sowieckiego majora. Żyli w bardzo trudnych warunkach.

Brat Gustawa, Andrzej Maria Mikołaj Bruchnalski (1906–1982) – był absolwentem Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Do roku 1939 pracował m.in. w Zakładzie Ossolińskich. W czasie wojny był wykładowcą historii powszechnej i języka polskiego w zakresie gimnazjum i liceum w tajnym nauczaniu. Chcąc pomagać ludności polskiej, pracował w Urzędzie do spraw Repatriacji. Po 1946 roku zamieszkał w Wojniczu pod Tarnowem, gdzie był nauczycielem języka polskiego i rosyjskiego oraz historii w okolicznych szkołach średnich. Zapisał się w pamięci jako profesor-przyjaciel, służący uczniom nie tylko wiedzą, ale i pomocą. Zawsze uśmiechnięty. Charakteryzowała go życzliwość, z jaką zwracał się do ludzi, oraz swoisty humor i dowcip, z jakim opowiadał chętnie swoje czasem nieco fantastyczne historie. Interesował się mundurologią – stworzył setki dwuwymiarowych figurek przedstawiających polskich wojskowych różnych czasów i formacji. Był pasjonatem fotografii. Jego żoną była Matylda Bruchnalska z domu Starzewska.

W 1946 roku moi bliscy, jako ekspatrianci, przybyli do Krakowa, Tarnowa i Wrocławia. Mój ojciec z babcią osiedli w Krakowie

Janusz Maria Gustaw Bruchnalski (1925–1980) – ukończył studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w 1954 roku. Projektował okładki książek i nut, układy typograficzne książek, plakaty, ilustrował publikacje dla dzieci (Polskie Wydawnictwo Muzyczne), pracował jako kierownik artystyczny w Wydawnictwie Literackim, jednocześnie prowadził zajęcia ze studentami, jako docent ASP, na Wydziale Architektury Wnętrz. Był wybitnym grafikiem o charakterystycznym lapidarnym stylu. Powszechnie znany i lubiany, miał łatwość nawiązywania kontaktów, lubił ludzi, przyjazny dla wszystkich, miał też wspaniałe poczucie humoru. Dla mnie pozostanie najlepszym na świecie ojcem. Prowadzili z moją matką **Lidią Bruchnalską** z d. Kozal-Karge (1926–2022) dom otwarty, co tydzień albo i częściej pełen gości, niezwykłych „kolorowych” osób, dom, w którym nasz pies Gufi był też członkiem rodziny. Pisząc o mojej rodzinie z lat 60.–70. ubiegłego wieku, nie sposób nie wspomnieć o kuzynostwie – przynajmniej o rodzinach Łowczowskich i Nahlików, i osobach zaprzyjaźnionych, np. państwie Wajdach. Wszyscy związani byli z Lwowem, istniały między nimi autentyczne więzy, pisali do siebie listy, odwiedzali się. Spędziłem dzieciństwo w Krakowie, na „lwowskiej wyspie” (dom rodzinny, dom stryja Andrzeja oraz dom mojej babki i jej siostry), wśród pięknych, ciekawych i dobrych ludzi.

Piszący te słowa **Marcin Wilhelm Bruchnalski (ur. 1958)** jest dyplomowanym lekarzem, który zdecydował się na studia plastyczne i ukończył ASP im. Jana Matejki w Krakowie na Wydziale Grafiki. Zajmuje się głównie ilustracją dla dzieci, m.in. w czasopiśmie „Świerszczyk”.

Jego pierwsza żona – Aleksandra Zacharzewska – jest cenioną lekarką, a córka **Anna Maria Bruchnalska** jest absolwentką prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od dwudziestu pięciu lat jest z **Agnieszka Joanną Dobosz-Bruchnalską** – uznaną graficzką i profesorką na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Rzeszowskiego, członkinią kolektywu artystycznego Grupa 13. Ich synami są: **Filip Gustaw Bruchnalski** – absolwent Wydziału Grafiki ASP im. Jana Matejki w Krakowie, aktywny artysta i sportowiec, oraz **Jakub Bruchnalski** – tegoroczny maturzysta zamierzający rozwijać swoje zainteresowania językowe.

Tomasz Fabiańczyk

Marcin Ernst – nieustrudzony popularyzator astronomii

Cmentarz Łyczakowski to miejsce szczególne. To można powiedzieć najbardziej polskie miejsce – założona w 1786 roku – jedna z najstarszych nekropoli. Pochowani na tym cmentarzu dają świadectwo o miłości do Polski i polskości. Wielu z nich odegrało ogromną rolę w dziejach polskiej i światowej kultury i życia publicznego. Na Łyczakowskich pomnikach możemy również znaleźć nazwiska świadczące o rozkwicie polskiej i światowej nauki. Jeden z nich nosi nazwisko polskiego astronoma Marcina Ernsta.

Urodzony w Warszawie 4 marca 1869 roku Ernst ukończył tam szkołę średnią – IV Gimnazjum w wieku 21 lat. Studiował najpierw przez dwa lata matematykę na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, by kontynuować naukę w Berlinie i później w Wiedniu. W stolicy Niemiec w 1896 roku doktoryzował się na podstawie pracy *O przebiegu zaćmienia słońca w górnych warstwach atmosfery*. Jako doktor filozofii wrócił do Warszawy, by objąć kierownictwo Obserwatorium Astronomicznego im. Jana Jędrzejewicza, jednak opóźnienia dotyczące organizacji tej placówki skłoniły go do podjęcia decyzji o wyjeździe do Lwowa, gdzie objął w roku 1897 dwie asystentury przy Szkole Politechnicznej – przy Katedrze Astronomii i Geodezji oraz w Obserwatorium. W 1900 roku nostryfikował swój berliński doktorat na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, otrzymując stopień docenta. Rok



Marcin Ernst

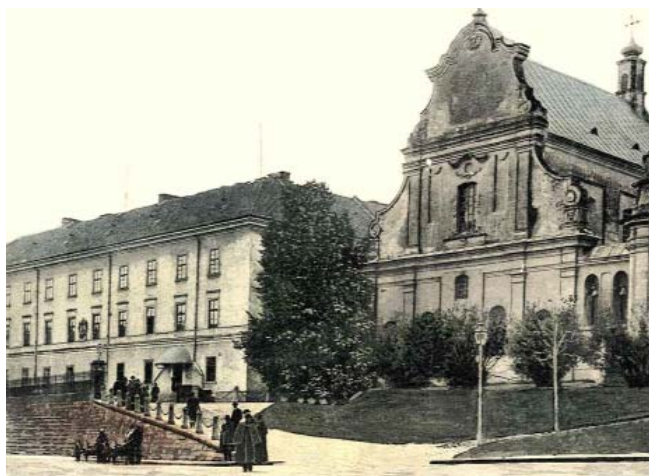
spędził na doksztalcaniu się na stażach naukowych w Poczdamie, Berlinie i Meudon, aby wrócić do Lwowa przed końcem 1901 roku. Zapoczątkował na Uniwersytecie Lwowskim wykłady astronomii, ale wykładał tam też matematykę. Od 1900 roku przez kolejnych 30 lat był kierownikiem Obserwatorium Astronomicznego we Lwowie. W roku 1905 został profesorem nadzwyczajnym astronomii, a na utworzonej dla niego dwa lata później Katedrze Astronomii został profesorem zwyczajnym.

Był bardzo zasłużonym popularyzatorem wiedzy astronomicznej, opracował m.in. nowe wydanie *Kosmografii* Jana Jędrzejewicza oraz obrotową *Mapę nieba widzianego na ziemiach polskich*. Prowadził wiele odczytów, był wykładowcą uniwersyteckim, autorem wielu rozpraw i dzieł naukowych, publikowanych w fachowych zagranicznych czasopismach, takich jak: „Astronomische Nachrichten” czy „Meteorologische Zeitschrift”.

Jeszcze w roku 1897 ogłosił *Astronomię gwiazd stałych*. Wydał w języku polskim takie publikacje popularnonaukowe, jak: *O przyrodzie planet*, *O końcu świata i kometach*, *Astronomia popularna* czy też późniejsza *Energia Słońca*. Najważniejszą – popularyzującą astronomię – pracą Marcina Ernsta stał się czterokrotnie wydawany w przeciągu lat 1908–1925 podręcznik dla szkół średnich pt. *Kosmografia*, oraz podręcznik uniwersytecki *Astronomia sferyczna* z roku 1928.



Strona tytułowa „O przyrodzie planet”. Rok wydania 1899



torem książek, otrzymując Nagrodę za Popularyzację Fizyki, która od 2003 roku nosi jego imię.

Nie znamy dziś powszechnie wielu nazwisk ówczesnych gigantów nauki. Warto pamiętać o tych rozpalających w innych światło wiedzy. Część prac Marcina Ernsta została zdigitalizowana i znajduje się w publikacjach sieciowych Śląskiej Biblioteki Cyfrowej oraz Fundacji HINT popularyzującej polskie dziedzictwo naukowe.

Jego działalność była ściśle związana z tworzeniem polskiej myśli naukowej tego okresu. Nie można umniejszyć jego roli w przyczynieniu się do rozwoju polskiej astronomii pod koniec rozbiorów aż po okres międzywojenny. Na ziemiach polskich pod zaborami rozwój astronomii nie był znacząco wielki, niezmiennie działalność utrzymywały jedynie obserwatoria w Krakowie i w Warszawie. W chwili odzyskania przez Polskę niepodległości Lwów dzięki działalności między innymi Marcina Ernsta był trzecim miastem akademickim, w którym działały obserwatoria astronomiczne związane z tradycjami akademickimi.

Marcin Ernst był człowiekiem niezwykle pracowitym. Działał w wielu stowarzyszeniach, był wieloletnim wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Astronomicznego i członkiem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie od chwili jego powstania w roku 1904, a także członkiem przybranym polskiego Towarzystwa Naukowego we Lwowie na utworzonym tam Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym.

Marcin Ernst zmarł 4 czerwca 1930 roku we Lwowie i został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim. Jego syn – Jan Ernst – w przedwojennym Lwowie przynależący do akademickiej korporacji Leopolia, współpracujący z twórcami Wesolej Lwowskiej Fali, założyciel Chóru Eryana, został profesorem geografii UMCS w Lublinie. Jego wnuk – Krzysztof Ernst – uzyskał tytuł profesora nauk fizycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Był popularyzatorem tej dziedziny i au-

Źródła:

https://pl.wikipedia.org/wiki/Marcin_Ernst
https://pl.wikipedia.org/wiki/Cmentarz_%C5%81yczakowski_we_Lwowie
<https://polaczonebiblioteki.uw.edu.pl/index.php/marcin-ernst/>
<https://gigancinauki.pl/gn/biogramy/84235,Ernst-Marcin.html>
<https://www.sbc.org.pl/dlibra/publication/edition/40878?id=40878>
<http://www.wiw.pl/astronomia/0004-historia.asp>
<http://copernicus.torun.pl/rewolucja/rozwoj/5/>
<http://hint.org.pl/itd=n72>



Grób prof. Marcina Ernsta na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, 2013

Katarzyna Turaj-Kalińska

Bez pamięci

Fragment niedrukowanej książki
Na każdym kroku koniec świata

Na imię miała, zdaje się, Maria – kto wtedy nie miał? No, a jeżeli nie miał, to był co najwyżej Zofią, Heleną albo Ireną, o ile tylko nie był Stanisławem, Tadeuszem albo Józefem. Owa pani Maria była początkowo zupełnie normalna, tylko bardzo gruba. Jej twarz przypominała szlarę sowy. Swoją drogą, ornitologdy, czy nie mogliście wymyślić lepszego słowa dla twarzy sowy niż „szlara”, która w języku polskim kojarzy się ze szlamem i szlajaniem? A przecież sowy ani nie żyją w szlamie, ani się nie szlają. Prowadzą nocny, ale bardzo przyzwoity tryb życia, gniazdując wysoko na drzewach. Zawiązują trwałe związki i zajmują się troskliwie wychowaniem potomstwa.

Pani Maria z parteru była dla mnie bardziej sowa niż gruba. Nie miała ani męża, ani potomstwa. To się wtedy nazywało „stara panna”, dziś się nazywa „singielka”, a jak się będzie nazywało jutro, sami się dowiecie. Dla dzieci z kamienicy była jednak bardziej gruba niż sowa, bo się z niej okrutnie śmiały.

Moja babcia też nie mówiła o niej inaczej niż „ta gruba B”, ale utrzymywała z nią kontakt i czasami schodziła do niej z drugiego piętra na plotki. Pani Maria nie byłaby w stanie wejść na drugie piętro, zresztą dziadków nikt nie odwiedzał – poza rodziną i „interesantami” w sprawie pomiarów geodezyjnych.

Mnie nie wolno było chodzić do sąsiadów, nawet tam, gdzie były dzieci. Takie wizyty nazywały się „nachalność” i oburzały dziadka, a jego oburzenie, jakkolwiek wyrzucane w powietrze do nie wiadomo kogo, było dla mnie jeszcze przykrzejsze niż bezpośrednie strofowanie przez babkę, toteż bardzo się starałam, żeby do niego nie doprowadzać.

Zresztą, dalibóg, sama wierzyłam święcie, że odwiedzanie sąsiadów to jest „nachalność”, a za żadne skarby nie chciałam być „nachalna”, przecież była to najohydniejsza przywara, jaką można spotkać na świecie!

No, ale babcia chodziła, dokąd chciała i kiedy chciała, były więc mieszkania, do których czasem zaglądała, i należała do nich garsoniera pani B.

Ta sąsiadka z dołu dumnie obnosiła się z tym, że pochodziła ze Lwowa. Nie było bardziej kultowego miasta dla powojennych Polaków. Wszyscy wiedzieli pomimo oficjalnego milczenia, że zostało ono utraczone w wyniku przetrzucenia kraju o pół jego dawnej szerokości na Zachód, kopniakami po mapie dokonany przez Stalina i uległych wobec niego aliantów. Lwów, miasto od wieków polskie – nawet w czasach względnie łagodnego zaboru austriackiego – po II wojnie światowej przyznany został Ukrainskiej Republice Radzieckiej. Był więc przez pewien czas de facto rosyjski i gdyby nadal pozostał, zapewne byśmy chcieli go odzyskać. Jednakże młodemu, zaprzyjaźnionemu państwu ukraińskiemu odbierać go już po prostu nie wypada.

Lwowiacy rozproszyli się po świecie, unosząc i rozsiewając wokół siebie hojnie atmosferę miasta. Przekazywali innym wspomnienia tak idylliczne mniej więcej jak wspomnienia białych południowych Amerykanów o czasach sprzed wojny secesyjnej, kiedy wszystko było w ich pojęciu na swoim miejscu: bawełna, czarni niewolnicy – niektórzy bardzo z białymi rodzinami zżyci i wcale nie zbuntowani – wspaniałe bale, pikniki, flirty i tańce.



Polska szkoła we Lwowie, spotkanie autorskie

PROZA



We Lwowie także wszystko było na miejscu – bale, pikniki, flirty i tańce, i bawelna w pierwszorzędnym gatunku, co widać po trwałości przedwojennych obrusów mojej babki, która do Lwowa jeździła często z Wołynia na zakupy. Nie było w nim jednakże niewolników, zatem Lwów miał same zalety. Choć wcale nie bale były jego istotą, ale zwyczajne, codzienne życie, nawet biednych ludzi – nawet uliczników lwowskich. Wygląda na to, że wszyscy tam byli szczęśliwi, bo nie spotkałam nigdy żadnego wypędzonego lwowiaka, który by na cokolwiek narzekał, a każdy coś chwalił. A to fenomenalne ciastka z cukierni Zalewskiego, a to niezrównane bućki od Czyka, a to śledzie od braci Kaliszów. A to Ormian, którzy kochali się z Polakami bodaj na równi z Węgrami, a to spacery na Wysoki Zamek, gdzie od dość dawna nie ma żadnego zamku.

Przeminęło z wiatrem amerykańskie południe. Przeminął i Lwów.

Zapewne dlatego tak go chwalono i wymawiano jego nazwę z miłością i czcią, choć nie zawsze umiano dostatecznie zareklamować słuchaczom konkretne szczegóły, które w końcu spotyka się także w innych miastach. Bo przecież wszystkie miasta świata mają jakieś miłe cukierenki, dobrych szewców, życzliwych tubylcom imigrantów i ładne miejsca do spacerów. Co więc u licha takiego było w przedwojennym Lwowie, że ludzie wspominali to miasto jako raj na ziemi i jedyną w życiu prawdziwą miłość?

Coraz trudniej byłoby ich o to zapytać, ale ja wam powiem, co myślę. Myślę, że to właśnie oni, ludzie żyjący tam i wtedy byli tym cudownym miastem, a gdy z niego wyjechali, pozostały po nich tylko kamienie. Oni tworzyli tam coś, co mija i nigdy nie

wraca. Czas! Jeden, jedyny, niepowtarzalny od – do.

A potem, wygnani, rozproszeni po świecie lwowiacy byli szafarzami komunii kresowej. Każdy kontakt z nimi to była msza za utracony raj. Raj, czyli coś spoza czasu. Miejsce, w którym nic nie przemija. Lwów pewnie i tak by kiedyś przeminął w tamtej swojej, wyjątkowo udanej postaci. Przeminąłby jak Litwa z *Pana Tadeusza*, która przecież niewiele ma wspólnego z dzisiejszym krajem o tej nazwie. Jego mieszkańcy narzekaliby wówczas zwyczajowo

tylko na to, na co z upływem czasu narzekają wszyscy na świecie – że kiedyś było wspaniale, a dziś wszystko jest do niczego. Gwałtowne odebranie miasta jego mieszkańcom zatrzymało w jednym wielkim kadrze szczęśny, lwowski czas, choć to być może tylko nostalgiczne złudzenie, które umrzeć musi z ostatnim przedwojennym lwowiakiem.

Pani B. też była szafarką komunii kresowej, choć swoim cudownym, lwowskim akcentem mówiła czasami wierutne głupstwa. Jak to na przykład: „Mężczyzna powinien mieć głowę, a kobieta nogi”.

Już wtedy wydawało mi się to jednym z zabobonów w stylu mojej niani – o diable w lusterku wieczorową porą, wyśnionych numerkach z gry liczbowej „Lajkonik” albo pociąganiu za ucho podczas konsumowania nowalijek. Zadawałam sobie pytanie, co też pani B. miała na myśli... „Mężczyzna powinien mieć głowę...” – w jakim sensie? Dobrze ostrzyżoną, prosto od fryzjera, a może w eleganckim kapeluszu? Czy też raczej chodziło o to, żeby ta głowa mądrze myślała? Tak czy owak w przypadku kobiety wybór był niewielki. Nogami przecież myśleć się nie da!

To mnie bolało, bo byłam w końcu kobietą. Chętnie ustępowałam miejsca w tramwaju starszym paniom, ale mężczyznom? Kiedyś jakiś może sześćdziesięcioletni pan wziął mnie za chłopca, bo miałam kaszkiet naciśnięty na czoło. „Ustąpiłbyś mi, chłopczyku!” – Ja jestem kobietą, proszę pana! – brzmiała odpowiedź. Szyderstwom nie było końca, ale ja byłam z siebie dumna. Tak dumna jak wściekła bywałam wtedy, gdy ktoś uważał kobiety za zobowiązane do udawania głupoty, by nie urazić ambicji mężczyzn.

Wydaje mi się, że moje w tej sprawie odczucia były tak wczesne i naturalne jak pierwsze zabawki – koń na biegunach i szabelka od dziadka. On nigdy nie mówił, że kobiety są lub powinny być głupsze. Przeciwnie, z wielką czcią wspominał rozmowy z pewną mądrą kobietą z Wołynia, która nazywała się hrabianka Zofia Ledóchowska i była ostatnią właścicielką majątku Bużany w powiecie horochowskim. To na jej cześć dał mojej mamie na imię Zofia, co znaczy „mądrość”, choć uzgodniono wcześniej w domu, że będzie Ireną. Po prostu poszedł i nikomu nic nie mówiąc zarejestrował dziecko w parafii jako Zofię, zapewne z nadzieją, że córeczka zrobi się od tego mądrzejsza.

Po latach przebąkiwałam, że jego wnuczka powinna studiować prawo, bo ktoś na tym świecie jest inteligentniejszy od prawników? Nie miał w każdym razie pomysłów, by mnie uczyć gotowania lub szycia, wydano za mąż czy coś w tym guście. No tak, to właśnie on popsuł mi charakter raz na zawsze.

Te lwowskie nogi zwały mnie z nóg. Nie mieściło mi się w głowie, jakim sposobem w tak idealnym mieście mogły obowiązywać tak nienowoczesne zasady. Ponadto pani Maria o Sowiej Twarzy mówiła „gazomiera” zamiast „garsoniera”, ale to mnie jakoś nie raziło. Uznałam, że „gazomiera” to zapewne garsoniera zaopatrzona w gazomierz.

Z czasem mieszkanka „gazomiery” na parterze zaczęła wygadywać jeszcze dziwniejsze rzeczy. Najpierw twierdziła, że się mężczyźni za nią oglądają na ulicy.

Babunia była, jak zwykle, bezlitosna.

– Oglądają się za panią, bo pani jest gruba!

Nie sądzę, żeby to panią Marię przekonało. Dla niej było jasne, że zaczęła nagle młodzić i pięknieć. Dobry początek! Niestety dalej nie było już tak przyjemnie. Pani B. powtarzała, że ją ktoś okrada. Codziennie coś jej ginęło, a kiedy przypadkiem się znalazło, oznaczało to tylko, że złodzieje wystraszyli się i porzucili łup.

Wieści te przynosiła z dołu na górę babcia, która była racjonalna i chłodna wprost nie do wytrzymania – wciąż i zawsze w złudnie sentymentalnym opakowaniu kresowego akcentu, wołyńskiego jednak, a nie lwowskiego, co stanowiło drobną różnicę. Ona nie wierzyła nie tylko w zabobony, lecz i w zdania mało prawdopodobne.

– Ta B. już całkiem postradała zmysły! Wciąż mówi, że ją okradają, a przecież ona jest bidna jak mysz kościelna!

Po pewnym czasie pani Maria umiała już wyjaśnić, w jaki sposób złodzieje zabierają jej pieniądze. Otóż „ściągają je po drutach z prądem”. Macie pełne prawo uważać ją za jasnowidza i prorokinię wieszczącą mającą się pojawić w przyszłości bankowość internetową wraz z nieodłącznym od niej hakerstwem i włamaniami na konta. Ale mojej babci przychodziło do głowy tylko jedno:

– Ta B. ma już kompletną sklerozę. Niedługo ją zabiorą.

Jasnowidzem okazała się, póki co, moja babka. Faktycznie pewnego dnia Marię o Sowiej Twarzy zabralo pogotowie. Babunia wywiedziała się, że „do Helclów”.

Owo „U Helclów”, gdyby ktoś nie wiedział, to najstarszy krakowski dom opieki, nazwany tak od imienia fundatorów, bogatych mieszczan z XIX wieku. Mieści się w imponującym pałacu, który pucowany jest bez ustanku przez pełne poświęcenia zakonnice. Zbudowany został jako „Dom Ubogich” i kojarzony jest z tymi najnieszczęśliwszymi biedakami, którzy nie mają nikogo na świecie. Porzuconymi, wtórnymi sierotami po własnych dzieciach – niewdzięcznych lub zgoła nieistniejących.

W czasach mojego dzieciństwa takie domy nie nosiły jeszcze eufemistycznych nazw w rodzaju „Dom Spokojnej Starości”, „Seniora” czy „Pogodnej Jesieni”. Mówiło się pogardliwie „dom starców” i było to miejsce, w którym się nie zamieszkiwało z własnej woli, lecz co najwyżej można w nim było „wylądować”. Łąduje się jak wiadomo po locie, lot zaś w tym wypadku był spowodowany solidnym kopniakiem od ludzi czy losu. Zatem był to upadek.

Babcia nie miała dotąd okazji do odwiedzania podobnych miejsc. Ba, wszyscy jej starsi krewni powynosili się zawczasu z tego świata. Matki prawie nie pamiętała, ojciec zmarł nagle, mając zaledwie sześćdziesiątkę, teść i teściowa umierali pod opieką własnych córek i także nie zdążyli zwiariować przed śmiercią. Dopiero dziadkiem musiała się babcia opiekować w śmiertelnej chorobie, lecz tylko przez dwa tygodnie, bo jak się to mówi: „szybko się zawiął” – równie dyskretnie, jak żył. Nienachalnie.

Krakowski dom opieki „U Helclów”, w którym odwiedziła panią Marię B., wydał się



babuni zupełnym koszmarem. Ona, tak zazwyczaj chłodna i dzielna – ona, która powtarzała z dumą „dwie wojny przeżyłam”, pogryziona jako dziecko przez sforę zdziczałych psów, uciekająca z Wołynia z dwójką dzieci przed rzezią ukraińską i sowiecką wywózką. Ona, tak przytomnie kiedyś ratująca własną wnuczkę bliską agonii, wystraszyła się porządnie po raz pierwszy w życiu dopiero w domu starców. Nic dziwnego, tamte historie skończyły się przecież dobrze. Tu zaś znalazła się w miejscu, gdzie wszystko kończyło się źle i na dodatek brzydko.

Wielokrotnie potem opowiadała, jak z pokoju pani Marii, gdzie zobaczyła to, co zobaczyła, a czego się mimo wszystko nie spodziewała, natychmiast udała się do kaplicy na parterze Domu Ubogich im. Anny i Ludwika Helców na długie modły o to, by nigdy, przenigdy nie być zmuszoną do umierania w TAKIM MIEJSCU. Nie wiem i nie dowiem się w życiu ziemskim, czy została wysłuchana, czy też zapewnił jej to zwykły zbieg okoliczności i obecność kochającej rodziny, ale wiele, wiele lat później stało się dokładnie tak, jak sobie życzyła. Nie musiała umierać w miejscu, które wydało jej się piekłem. Nie zniedołężniała też na starość i nie utraciła władz umysłowych aż do końca.

Zastanawiam się nieraz, czy z pamięci Marii o Sowiej Twarzy wypadł także ukochany Lwów. Może nie tak całkiem? Może był jej ostatnią wizją, światłem w tunelu, przez który trafiała do niego z powrotem w przestrzeni i w czasie?

Co do mnie, gdy sama byłam już babką, wybrałam się do Lwowa, żeby naocznie przekonać się,

że jest to zupełnie inne miasto niż to, o którym tak pięknie opowiadali jego przedwojenni mieszkańcy-wygnańcy. Wszystko co polskie od fundamentów po dach dalej tam wprawdzie stoi, ale z nowymi nazwami ukraińskimi, przeważnie imienia Iwana Franki. Młode narody nie mają zbyt wielu bohaterów.

Uniwersytet – niegdyś imienia króla Jana Kazimierza, zresztą kontrowersyjnego – nosi imię Iwana Franki. Podobnie jak dawny Park Jezuicki, w pobliżu którego stoi hotel „Dniester”, gdzie się zatrzymałam wraz z grupą krakowskich pisarzy, zbudowany w latach siedemdziesiątych XX wieku w okropnym, nowobogacko-komunistycznym stylu.

Park Jezuicki także jest parkiem Iwana Franki, chociaż to polscy jezuici wykroili go kiedyś z własnego ogrodu na potrzeby miasta...

W hotelu „Dniester” kupiłam maleńki przewodnik po Lwowie, jakże różny od tak wielu przewodników polskich po tym mieście. Widać, że ktoś, kto go napisał, starał się, by nie zabrakło tam śladów polskości. Lecz przy tym dołożył równie wielu starań, by te ślady wydawały się nieliczne i całkowicie bez znaczenia.

Lwów nie miał szczęścia jak Gdańsk czy Wrocław, gdzie ślady niemieckie są pieczołowicie upamiętniane. Przyczyna jest tyleż banalna, co smutna. Nikt nie inwestuje w zachowanie śladów polskich we Lwowie, podczas gdy na polskie ziemie zachodnie płyną olbrzymie pieniądze z Niemiec. To nie jest wbrew pozorom niemiecki szowinizm. Tak samo pielęgnują Niemcy ślady kultury słowiańskiej na ziemi łużyckiej. W równym stopniu pieczołowicie podkreślana jest ▶



Pisarze krakowscy pod tablicą Zbigniewa Herberta

Barbara Ołasińska

Historia jednego adresu we Lwowie...

Przy ul. Zadwórzeńskiej pod numerem 4 m. 6 mieszkali państwo Jaworscy wraz z synem Adamem, który urodził się w 1927 roku. Adam Jaworski w wieku 17 lat został 25 lutego 1944 roku aresztowany przez NKWD za działalność w AK. Osądzony, skazany został z art. 54-2 i 54-11 sowieckiego kodeksu karnego na 5 lat do łagru AB-6 na Syberii. Tym wyrokiem pozabawiony został też praw obywatelskich na czas nieokreślony. Ciężka praca przy wyrębie lasu, brak dostatecznej ilości pożywienia, niewiarygodne zimno i choroba zmogły niemal śmiertelnie młodego człowieka. Wyrzucony na stertę trupów niechybnie zmarłby na mrozie. Ktoś jednak zauważył, iż „trup” się poruszył. Towarzysze niedoli wciągnęli Adama do baraku, gdzie pielęgnowany, wyzdrowiał na tyle, aby móc dalej pracować.

Po odbyciu „kary” został ponownie skazany na kolejne 5 lat zesłania do „Dalnostroju” na dalekiej Syberii, do miejscowości Susuman w obwodzie magadańskim. Przepracował tu 5 lat w piekarni – do października 1954 r. Po odbyciu 10-letniej „kary” otrzymał zwolnienie i pozwolenie na wyjazd do Lwowa. Mając 27 lat, wrócił do rodziców, ale już

na ul. Stalingradzką 4/6 – tak wówczas nazywała się ul. Zadwórzeńska.

2 kwietnia 1975 roku, wyrokiem Lwowskiego Sądu Wojewódzkiego, został „zrehabilitowany”, tym samym „przewinienie przekreśla się”. Wyrok sądu został wysłany do Adama Jaworskiego na ul. Wołogradzką 4/6.

W 1956 r. Adam Jaworski ożenił się z Zofią Filaretówną. Pracował we Lwowie w fabryce kineskopów. Chorował na serce i inne dolegliwości pozostawione w spadku przez pracę w łagrze. Zmarł w wieku 55 lat, osierocając dwoje dzieci: córkę Helenę i syna Witolda. Pani Zofia Jaworska mieszkała w dalszym ciągu w mieszkaniu swego męża wraz z córką, zięciem Leszkiem Zenknerem oraz wnuczką Bożeną, ale już przy ul. Antonowycza 4/6. Na mocy polskiego prawa pani Jaworska, jako wdowa po Polaku represjonowanym przez władze radzieckie, uzyskała comiesięczny zasiłek kombatancki z ZUS. Była to kwota przewyższająca dwukrotnie jej miesięczną rentę. Niedługo, bo ok. 3 lata, cieszyła się tym dodatkiem.

Pani Zofia zmarła na serce 4 lata temu, córka Helena – w tym samym roku, zięć Leszek – rok później. Wnuczka Bożena mieszka w Warszawie, a przy ul. Antonowycza 4/6 we Lwowie mieszka rodzina pani Zofii Jaworskiej.

Znam tę historię dobrze, ponieważ wielokrotnie mieszkałam u pani Zofii Jaworskiej.

- ▶ podwójność kultur niemieckiej i francuskiej na niegdyś spornych ziemiach Alzacji i Lotaryngii, a włoskiej i niemieckiej w Tyrolu Południowym – Górnej Adydze.

Gdyby Ukrainę przyjęto do Unii Europejskiej, być może i Lwów doczekałby się powrotu polskość, przynajmniej w podwójnych nazwach rozmaitych obiektów. Ale czy w dobie tak gremialnego odradzania się ksenofobii w Europie są na to jakieś widoki? Obawiam się, że prędzej zdjęte zostaną tablice w Tyrolu i Alzacji, niż pojawią się we Lwowie. I bardzo, bardzo chciałabym się mylić.

Jest jeszcze trochę Polaków w tym mieście, lecz z całą pewnością nie są to ci sami lwowiacy, którzy rozproszeni po świecie

dzielił się prawdziwym, jedynym, przedwojennym Lwowem. Są to zupełnie inni ludzie, którzy w dodatku czują się niekiedy zaniebdani przez Polskę. – „My nie jesteśmy Polonią – lubią powtarzać – bo my nie jesteśmy przyjeźdźni!” – Z Ukraińcami nie wchodzi w konflikty, muszą przecieć z nimi żyć na co dzień, ale do Polaków z Polski wyraźnie coś mają – jakąś zadrę, jakieś uprzedzenie.

Uważają, że o nich zapomniano, jakby nigdy nie byli tymi prawdziwymi lwowiakami, których cienie snują się po mieście. Wśród nich – bezszelestnie jak sowa – cień pani Marii B. Najprawdziwszej, przedwojennej lwowianki, którą los skrzywdził, kradnąc jej to, co miała najcenniejszego.

Pamięć.

Beata Kowalska-Sionko

KATOWICKIE URODZINY WOJCIECHA KILARA

WKatowicach 16 lipca 2022 roku rozbrzmiewała przez cały dzień muzyka Wojciecha Kilara. Tym samym upamiętniono pianistę, kompozytora muzyki filmowej i sakralnej.

Wielce ukochał mistrz „drugą swoją ojczyznę”, jak mawiał Kilar o Katowicach, a miasto i jego mieszkańcy oddali mu to samo, tak licznie uczestnicząc w muzycznym maratonie zorganizowanym na 90. rocznicę jego urodzin.

W jego domu na ul. Kościuszki 165 w Katowicach, gdzie przybywali najwięksi reżyserzy światowego kina, w Katedrze Chrystusa Pana, na katowickim rynku, czy w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia rozbrzmiały największe kompozycje muzyki filmowej Mistrza: *Smuga cienia*, *Trędowata* (Walc), *Ziemia obiecana* (Walc), *Pan Tadeusz* (Polonez), *Dracula*, *Sól Ziemi Czarnej*, *Kronika wypadków miłosnych*, *Bilans kwartalny*, *Rodzina Połanieckich* (Walc), *Zemsta* (Mazur), *Pianista*, *Orawa*, *Preludium chorałowe* (cz. I – *Dolce*). Muzyka sakralna Wojciecha Kilara: *Modlitwa do Małej Tereski*, *Hymn paschalny*, *Lament*, *Lumen*.

Organizatorami wydarzenia było Katowice Miasto Muzyki UNESCO, Katowice Miasto Ogrodów.

Warto jednak powrócić do kresowych korzeni światowej sławy kompozytora muzyki filmowej, by tam odszukać jego pierwsze inspiracje.

Wojciech Kilar urodził się 17 lipca 1932 roku we Lwowie w zamożnej, inteligentnej rodzinie.

W ośmiopokojowym mieszkaniu, które mieściło się na drugim piętrze narożnej kamienicy przy ulicy Leona Sapiehy 89, nieopodal kościoła św. Elżbiety, wypełnionym sztuką, muzyką i nauką, stawiał pierwsze kroki i czerpał inspiracje na swojej muzycznej drodze.

W domu rodzinnym ojciec Jan Franciszek, z zawodu lekarz ginekolog, twierdził, że „najwspanialsze i najwznioślejsze zajęcie człowieka to jest sztuka”. Sam w młodości pobierał lekcje u ks. Antoniego Hlonda-Chlondowskiego. Tak wiele z atmosfery artystycznej wносиła do ich domu matka Aniela Neonilla Kilar z d. Batik, która była aktorką.

W ich domu było też pianino, na którym grywał ojciec. Wojciech zainspirowany był grą sąsiada, wyznania mołdawskiego, który przychodził do ich mieszkania i grywał na fortepianie. Szczególnie zainspirował go jeden z utworów Ketëlbeya *Na perskim rynku*. Po latach w udzielonym wywiadzie w *Rozmowach na koniec wieku* wyznaje, że ten utwór był kluczowy w jego tożsamości muzycznej.

Rodzice zadbali o rozwój syna i zapisali w wieku 6 lat na lekcje fortepianu do prywatnej szkoły muzycznej, mieszczącej się nieopodal ich domu. Placówka była prowadzona od 1912 roku przez pianistkę Malwinę Reissównę (Reyssównę). Szkoła mieściła się początkowo przy ulicy Sapiehy 57.

Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach. Zespół muzyków Orkiestry Kameralnej Archetti pod batutą Mieczysława Ungera. W programie utwory Wojciecha Kilara, m.in. „Preludium chorałowe”

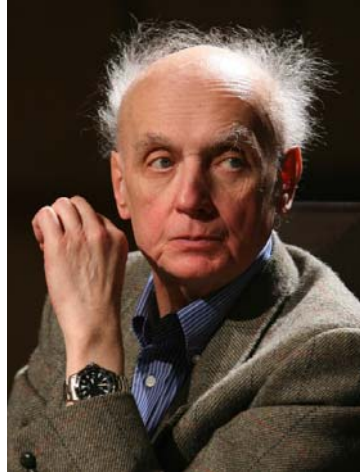
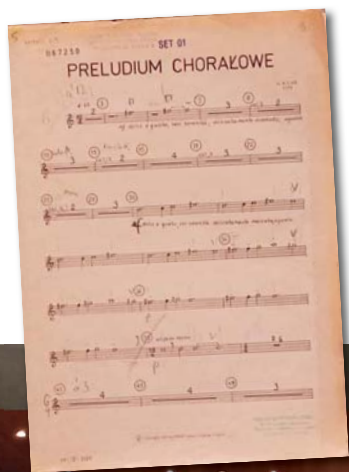


foto: Cezary Płowowski, źródło: Wikipedia



Malwina Reissówna kierowała nią wspólnie z siostrą Heleną Sochową z Reissów, pod nadzorem znakomitego pianisty Jerzego Lalewicza. Mniej więcej od początku lat dwudziestych placówka pod nazwą Zakład Muzyczny Malwiny Reissówny funkcjonowała w budynku przy ulicy 29 Listopada.

Dzisiaj na frontonie kamienicy, w której urodził się i mieszkał Wojciech Kilar, przy ulicy Leona Sapiehy 89 we Lwowie, obecnie Stepana Bandery, znajduje się dwujęzyczna tablica pamiątkowa. Kompozytor w wywiadach powracał do wspomnień domu rodzinnego. Do miasta swojego dzieciństwa jednak nie powrócił. „Nie warto rozdrapywać ran” – mawiał.

W 1944 roku razem z matką opuszcza Lwów i przeprowadza się do Krosna, a następnie do Rzeszowa. Po zakończeniu wojny rozpoczął naukę w tamtejszym Gimnazjum im. ks. Szymona Konarskiego oraz w miejscowej szkole muzycznej w klasie fortepianu Kazimierza Mirskiego.

W latach 1947–1948 był uczniem Gimnazjum Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie, Państwowego Liceum Muzycznego w Krakowie w klasie fortepianu Marii Bilińskiej-Riegerowej, prywatnie uczył się harmonii u Artura Malawskiego.

W 1948 roku, po przeprowadzce do Katowic, zamieszkał u profesora Bolesława Woytowicza i był uczniem Liceum Muzycznego w klasie fortepianu prof. Władysławy Markiewiczówny. Obecnie jest to Państwowa Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna II stop-



W ogrodzie przy domu Wojciecha Kilara w Katowicach Kwintet Śląskich Kameralistów zagrał znane tematy filmowe kompozytora



W Archikatedrze Chrystusa Króla, Chór Akademickiego Zespołu Muzycznego Politechniki Śląskiej pod dyrekcją Krystyny Krzyżanowskiej-Łobody zaprezentował muzykę sakralną Wojciecha Kilara

nia im. Karola Szymanowskiego w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Wojciecha Kilara.

W latach 1948–1950 pobierał prywatne lekcje kompozycji u prof. Woytowicza.

W drugiej swojej ojczyźnie, jak mawiał o Katowicach, skończył w 1955 roku Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w klasie fortepianu i kompozycji prof. Woytowicza. Uzyskał tytuł *doctora honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego. Tworzył utwory orkiestrowe, kameralne, wokально-instrumentalne, fortepianowe, a także komponował muzykę radiową, telewizyjną, teatralną i filmową. Skomponował muzykę, m.in. do *Drakuli*, *Pianisty*, *Królów nocy*. Za skomponowanie muzyki do *Pianisty* przyznano mu francuskiego Cezara, a za muzykę do *Drakuli* nagrodę Stowarzyszenia Kompozytorów Amerykańskich. Był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, Polskiej Akademii Filmowej, a także Rady Patronackiej Instytutu Jagiellońskiego. Został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski oraz Orderem Orła Białego.

Był również oddanym mężem Barbary Pomianowskiej, którą poślubił w 1967 roku i z którą przeżył kolejnych 40 lat.

POEZJA

Józef Czechowicz (1903–1939)

Jeden z wybitniejszych polskich poetów, przedstawiciel II Awangardy, urodził się i zmarł (tragicznie w czasie bombardowania przez Niemców miasta) w Lublinie. Po ukończeniu studiów pedagogicznych przez jakiś czas pracował jako nauczyciel na Wileńszczyźnie oraz we Włodzimierzu Wołyńskim.

Lato na Wołyniu

łąka huśtawka
sznury pogody chrzęszczą
rozwieja się nieba kaftan
w rozkołysaniach
kołyszą się gałęzie pachnąc szczęściem
tryumfowania

od chmur dalekich do suchych skał
młot słońca połysk
moich stóp chwala
tratuje wołyń
unosimy się falisty dym
to słoneczna głowa i ja
opadamy jak zgaszony wybuch
krąży fosforyczny rym
napowietrzną rybą
z rozkoszą gwizdżę w czerwcowy czad
skaczą kołują tętnię
25 lat
nagiego ciała ogień
ręce ptakami w niebie
wiatrem nad trawą nogi
to pięknie

to pięknie słuchaj
gdy karminowy grzebień
południa żłobi upał
gdy lazurowym koniem do nas
przyfruwa z gorącej przestrzeni
asonans
ukochanej ziemi

hej



Rys. Roman Kramsztyk, źródło: Wikipedia

przez kresy

monotonnie koń głowę unosi
grzywa splywa raz po raz rytmem
koła koła
ziola
terkocze senne półżycie
drożyną leśną łąkową
dołem dołem
połem
nad wieczorem o rżyska zawadza
księżyc ciemny czerwony
wołam
złoty kołacz
nic nie ma nawet snu tylko kół skrzyp
mgława noc jawa rozlewna
wołam kołacz złoty
wołam koła dołem połem kołacz złoty

Beata Bednarz

Moje lektury

Puklerz kresowy **Krzysztofa Masłonia**

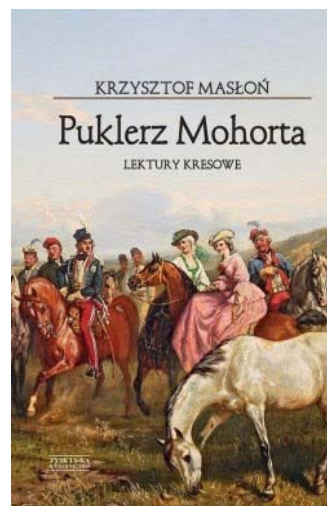
Mojego Drohobycza już nie ma, on żyje wyłącznie we wspomnieniu i rozrzewnieniu serdecznym, w uwzniośleniu i w wyższość-wstąpieniu wspomnień.

Są to słowa (jakże wymowne i symboliczne) Andrzeja Chciuka – jednego z bohaterów opastej i pięknie wydanej książki znanego krytyka literackiego Krzysztofa Masłonia. Publikacja jest zbiorem esejów. Część z nich ukazała się w latach 2010–2011 w kresowym dodatku „Rzeczpospolitej”. Chwała autorowi, że je zgromadził w jednym tomie, dzięki czemu czytelnicy zaliczający siebie do miłośników Kresów mogą uporządkować sobie wiedzę na temat dzieł literackich sławiących ojczyznę wielu narodów, języków, kultur i religii. Teksty te tworzą swoistą panoramę literackich opowieści o mitycznej krainie, potencjalnie tkwiącym w utraconych ziemiach, o polskich pisarzach i ich rodzinach mieszkających na wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Jedną z inspiracji do powstania tej książki, jak wspomniał Masłoń w trakcie warszawskiego spotkania promocyjnego, było zdanie autorstwa wybitnego poety Kazimierza Wierzyńskiego, przypisywane Józefowi Piłsudskiemu: „Polska będzie wielka albo żadna”.

Książkę Krzysztofa Masłonia można postrzekać jako wypiski z dziejów piśmiennictwa polskiego. Kalejdoskop opisanych postaci obejmuje bowiem różne epoki. W szkicach w niej pomieszczonych przeglądają się kresowe losy zarówno klasyków literatury polskiej, jak i debiutantów, a także nieliteratów. Na stronach publikacji wprost roi się od wspaniałych nazwisk tworzących niebywale barwny korowód. Nie przeszkadza skrótowość w kreśleniu ich sylwetek, wręcz przeciwnie – lapidarność zaostrza apetyt oraz inspiruje do samodzielnych poszukiwań i lektur. Zresztą artykuły prasowe rządzą się swoimi prawami i trudno mieć o to pretensje do autora. *Puklerz Mohorta* to skarbnica inspiracji lekturowych, może też być (uwaga!) przyczyną wyrzutów sumienia, jeśli się czegoś jeszcze nie przeczytało.

Autor ma talent do portretowania. Szkice Masłonia cechują urok i magnetyzm, a także swada narracyjna. Książka obfituje w wiele pasjonujących ciekawostek, historyjek i charakterystyk poetów i pisarzy związanych z Kresami. Na przykład fascynująca jest historia pojedynku „lwowskiego Dumasa”, jak nazywano nad Pełtwią Walerego Łozińskiego, z innym lwowskim pisarzem, Karolem Ciszewskim. Poszło, rzecz jasna, o kobietę. Warto też przypomnieć sobie historię Iwana Mazepy, który tak zainteresował największych romantyków. Piękna jest także opowieść o związanym ze Lwowem rodem Scottów, których na ziemi polskie przyciągnęła nafta. Poświęconą Scottom książkę napisał Jerzy Janicki, który poznał po wojnie w Kanadzie jednego z potomków, syna konsula Jego Królewskiej Mości. Jerzy Janicki był też znawcą bałaku, w którym, jak zaznaczał, przeglądała się długa i bujna historia grodu nad Pełtwią. W *Krakidałach* (Iskry, 2004), w rozdziale poświęconym bałakowi, Jerzy Janicki zwracał uwagę: *Raz na zawsze należy wiedzieć, że lwowiak nie jada, tylko wcina albo wbija w krzyżbanty, nie idzie ulicą, tylko faluji, a jeśli z pcią piękną, to z dziunią, a do tego trzyma ją popud kolkki, chyba że jest brzydka, w takim razie idzie z rymundą. Kiedy będzie się żenił, to si okołtuni i wtedy wypije moc ćmogi albo bajury, poczem gdy tak da sobi do nosa, to będzie hirny albo zaćmakany.*

Po lekturze książki Krzysztofa Masłonia po raz kolejny uświadomiamy sobie, że niezwykle bogactwo kulturowe dawnej Rzeczypospolitej będzie naszą krynicą dopóty, dopóki w naszych sercach i w naszej pamięci pozostanie całe jej dziedzictwo. Niech zatem żyją i we wspomnieniach, i w rozrzewnieniu serdecznym, i w uwzniośleniu utracone ziemie kresowe i zakotwiczone w nich wspaniałe dzieła literackie.



Elegia o Stanisławowie

Przebogata jest literatura poświęcona Kresom. Trudno się temu dziwić, gdyż opowieści na ich temat jest i będzie tyle, ile było polskich rodzin mieszkających na wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. I nie tylko polskich. Dzisiaj są to tereny obecnej Litwy, Łotwy, Białorusi i Ukrainy. Kresy słynęły niegdyś z tolerancji, gdyż była to ojczyzna wielu narodów, języków, religii i kultur. W XX wieku dwa totalitaryzmy sprawiły, że stały się grobem wielu tysięcy ludzi, jednym z najbardziej zniszczonych i skrwawionych regionów Europy, ziemią okradzoną z tysięcy bezcennych dzieł architektury i sztuki. Jednak nie tylko z martyrologicznej perspektywy spogląda na swoje rodzinne strony Tadeusz Olszański. Jego książka nie jest też opowieścią o mitycznej krainie, lecz próbą zrozumienia potencjału tkwiącego w utraczonych ziemiach. Autor opiera się na polskiej, żydowskiej, ukraińskiej i ormiańskiej historii i kulturze. Lwów, Wilno i Stanisławów są do tego stopnia przesiąknięte przeszłością tych narodów, że żadne nazwy litewskie, białoruskie czy ukraińskie nie są w stanie tego wymazać. Przede wszystkim jednak przesiąknięte są polskością. Potwierdza to Olszański, pisząc o Stanisławowie (dziś Iwano-Frankiwsk) w „Postscriptum”: *Nazwy można zmieniać nie tylko ulicom, ale również miastom, ale przecież mają one swoją pamięć, swoje sukno i są trwałąmi pomnikami przeszłości. I ciągle, bez względu na to, jak się to miasto będzie nazywało, najpiękniejsze w nim będzie i pozostanie to,*

co było i na zawsze pozostaje Stanisławowem.

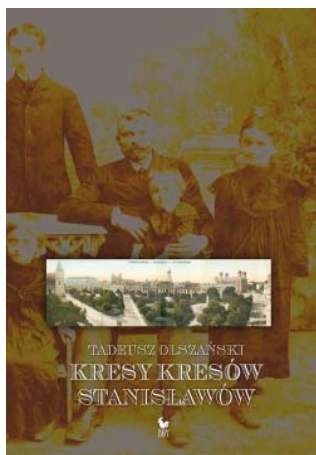
Autor stara się przekazać prawdziwy obraz Stanisławowa, niepozabawiony jednak pewnego uroku i magnetyzmu. Zobaczymy również, choć naznaczony cierpieniem, świat cichej harmonii i piękna, miłości i poświęcenia, solidarności w obliczu

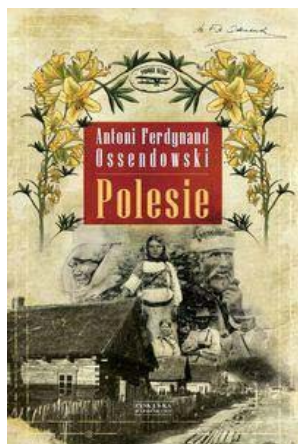
tragedii i odwagi. Opowieść Tadeusza Olszańskiego o „kraju lat dzieciennych” (autor spędził w Stanisławowie pierwszych 14 lat swojego życia) jest podszyta nostalgią i miłością do rodzinnych stron, utraconej małej ojczyzny, dlatego przywodzi na myśl elegię, czyli utwór o tematyce żałobnej i refleksyjnej, mimo że książka należy do literatury faktu. Jednak w opisie Stanisławowa dominująca jest perspektywa, w której dostrzeżemy polski rodowód miasta i jego bogatą historię. Owa polskość to główna tkanka miasta, nierozzerwalnie połączona z kulturą i obyczajami innych społeczności w niej mieszkających: Żydów, Ukraińców i Ormian. Szczególnie interesujące są obrazy rodzin ormiańskich, a także Huculów, którzy mieszkali blisko Stanisławowa.

Tadeusz Olszański spędził dzieciństwo w prawdziwym tyglu kulturowym i religijnym. Bogactwo poruszonych w książce wątków oraz opisów losów osób autorowi najbliższych, a także zwykłych mieszkańców Stanisławowa jest tak olbrzymie, że mamy do czynienia z wielobarwnym freskiem. Książkę czyta się z niesłabnącą zachłannością, a nawet momentami ze ściśniętym gardłem. O innych miastach dawnej Galicji, czyli Lwowie i Krakowie wiemy stosunkowo dużo, ale Stanisławów jawi się nam jako bardziej tajemnicze i zapomniane miejsce. Książka obfituje w wiele pasjonujących ciekawostek, historyjek i charakterystyk społeczności miasta. Warto wspomnieć, że mieszkańcy Gdańska w kościele Apostołów Piotra i Pawła na Żabim Kruku mogą oglądać stanisławowską ikonę cudownej Matki Bożej Łaskawej z tamtejszego ormiańskiego kościoła. Historia ocalenia tego obrazu przez księdza Kazimierza Filipiaka (który nie był Ormianinem, ale góralem z Podhala) to tylko jedna spośród licznych fascynujących opowiadań tworzących tę niezwykłą publikację.

„Na tajemniczej ziemi poleskiej...”

Nieważne, czy Antoni Ferdynand Ossendowski zmyślał bądź koloryzował w swoich podróżniczych książkach (a takie wątpliwości się pojawiały), czy może jednak pieczołowicie i zgodnie z rzeczywistością przedstawiał zwiedzane przez siebie zakątki Polski i innych państw. Niezależnie od





tego, jak było naprawdę, Ossendowski zapewnia czytelnikowi niezapomniane przeżycia. Zaprasza bowiem do uczestnictwa we wspaniałej uczcie literackiej i duchowej. Lektura *Polesia* wzbudza ogromną nostalgię za tym krajem zaczajonym niegdyś między Polską, Litwą a Rusią. Reprintowe wydanie

zawiera mapkę ilustrującą jej położenie po 1920 roku. Jak podkreśla pisarz, po wojnie polsko-bolszewickiej kraj ten został prawie w połowie przecięty nową granicą państwową.

Prawdziwie zniewalający jest urok zaklętej w słowach Ossendowskiego poleskiej ziemi. Warto wspomnieć, że w folklorze i dzikiej przyrodzie Polesia rozmitowana była Krysztyna Kraheńska, autorka najpopularniejszej pieśni Powstania Warszawskiego *Hej, chłopcy, bagnet na broń!* Jej piękno sławił między innymi zapomniany dziś poeta Władysław Syrokomla, którego wiersz Ossendowski zresztą przytoczył. Polesie i jego mieszkańcy pojawiają się jako wątek w wielu utworach, że nie wspomnę o pieśniach, np. napisanej przez Jerzego Artura Kosteckiego w lecie 1939 roku piosence *Polesie*. Po wejściu do Polski Sowietów we wrześniu 1939 roku jej autor popełnił samobójstwo.

Wylaniający się z książki kraj przecięty jest licznymi strumykami, roztokami i rzeczułkami. Pełny jest rozległych bagien, lasów i łąk, nie wspominając o bogactwie flory i fauny. Wszystko to pod wpływem pióra Ossendowskiego zamienia się w absolutnie zaczarowane i pełne nieodgadnionej tajemnicy miejsce. Od XIII wieku olbrzymi wpływ – moralno-polityczny i etniczny – wywierały na ten kraj Ruś Nowogrodzka, Kijowska i Moskiewska, Litwa ościenna i Polska, o czym najlepiej świadczy mowa poleska:

*Cerez pole szyrókieje,
Cerez mor hłybókieje,
Stojąc stołuby zołotyje,
Mościć mosty srebranyje*

Taką obrzędową pieśń śpiewali, jak pisze Ossendowski, Poleszycy po Wielkiej Nocy. A skoro już o Poleszuchach mowa... Jawią się oni jako małomówni, uparci i nieufni, ale zaprawieni w bojach z dziką przyrodą i żyjący zgodnie z rytmem pór roku. Poleszuch to odwieczny łowca i niepoprawny kłusownik, walczący, a właściwie lepiej powiedzieć, i wcale nie będzie w tym żadnej przesady, że tańczący z wilkami. A co śpiewały dziewczyny wiejskie, witając z utęsknieniem wiosnę?

*Oj, wiesna krasna!
Da sztoż ty nam uniośla?
Oj, uniośla, uniośla
Try koryści radości [...]*

Kobiety musiały się natrudzić, by mieć, co włożyć do garnka i wyżywić rodzinę. Sprytu im nie brakowało. Oto, co pisał Ossendowski na temat położenia kobiet poleskich: *Poleszuckie baby znają swój kraj i biorą zeń wszystko, co zdatne jest do zjedzenia: krupy z manny – majny rosnącej po łąkach, korzenie wodnych lilii, młode pędy tataraków i szczaw i cebulę polną; zbijają dzikie gruszki i robią z nich ulęgałki; mrożą czerwoną kalinę, sporządzają z owsa żur i tołokno, a z gryki lemieszkę i setki innych pożywnych rzeczy.*

Barwnie i żywo nakreślone przez Ossendowskiego zwyczaje, prace, wierzenia i obrzędy Poleszuchów uświadamiają, jak bardzo uduchowione i bogate, mimo materialnego niedostatku, można wieść życie, pod warunkiem że człowiek nauczy się odczytywać znaki przyrody i liczyć z siłami natury: *Starcy wiedzą dokładnie, że gdy pofrunie wpierv biała babka – rok będzie mleczny, jeżeli żółta – należy się spodziewać miodowego.* Poleszycy po ruchach szczupaka umieli rozpoznać, że „ryby iduc” i że można zacząć przygotowania do połowów. Musieli bacznie obserwować florę i faunę, by obficie czerpać z ich darów i nie zginąć. Mieli swoje tajemne modły, zaklęcia i wieszczby.

Pełna nieprzemijającego i zniewalającego uroku jest opowieść Ossendowskiego. Ponadto trzeba podkreślić, że z edytorskim kunsztem opublikowana przez Zysk i S-kę literacka gawęda Ossendowskiego jest wzbogacona o mocno przemawiające do wyobraźni zdjęcia Jana Bułhaka, zwanego ojcem polskiej fotografii.

Anna Stengl

Ach te nasze spotkania...

O spotkaniach członków i sympatyków Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Pierwsze, nieformalne spotkania ekspatriantów, którzy zmuszeni byli opuścić Lwów i inne miejscowości wschodniej Małopolski, rozpoczęły się w 1983 roku w klasztorze oo. Dominikanów, przede wszystkim dzięki gościnności ojca Adama Studzińskiego, najpierw w krypcie (w podziemiach), potem przez lata w gotyckim kapitułarzu. Spotkania urządzone były z inicjatywy pp. Janiny Winowskiej i Stanisława Wasiuczyńskiego, niewątpliwie przy dużym zaangażowaniu Zdzisławy Stopczyńskiej, naszej wszechstronnie aktywnej Dzikki.

Właśnie w tych podziemiach zapadła decyzja o powołaniu w Krakowie Towarzystwa Miłośników Lwowa, jako jednego z oddziałów w obrębie już powstałego parę miesięcy wcześniej ogólnopolskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa o rozszerzonej później nazwie: „i Kresów Południowo-Wschodnich” (Stanisławów, Tarnopol, Złoczów, Zaleszczyki, Stryj...). Kilka miesięcy po powstaniu Towarzystwa we Wrocławiu, w Sali Filharmonii Krakowskiej odbyło się zebranie organizacyjne, które zgromadziło kilkaset osób i wkrótce około 1,5 tysiąca ekspatriantów, którzy osiedlili się po II wojnie światowej w Krakowie, zapisało się do Towarzystwa.

W 1989 roku „wyszliśmy z podziemia”, spotkania u oo. Dominikanów odbywały się w gotyckim kapitułarzu i w 2012 roku, po dwudziestu latach, zakończyły się uroczystą mszą świętą.

Od 1998 roku, z inicjatywy pana Andrzeja Chlipalskiego, ówczesnego prezesa Oddziału, rozpoczęły się spotkania w klubie „Zaułek”, przy ul. Poselskiej 9. Klubem kierowała wówczas pani Barbara Kościak, a naszą gospodynią, która podawała smaczkę ciasteczka, herbatę, kawę była Urszula

Kogut, zawsze pełna serdeczności i uśmiechu dla wszystkich uczestników spotkania. W „Zaułku” panowała rodzinna atmosfera, przy okrągłych stolikach zasiadały zaprzyjaźnione osoby i dopiero po rozmowach i spożyciu smakołyków następowała część oficjalna, czyli prelekcja zaproszonego gościa. Ostatnie spotkanie w „Zaułku” odbyło się w czerwcu 2010 roku, a my, dużo wtedy młodszy, ustawiliśmy się jak na grupowe zdjęcie przystało, sfotografował nas Adam Dyniewicz i tę fotografię z podpisem załączam, uwzględniając jej smutną „aktualność”.

Oczywiście na wszystkie spotkania zapraszeni byli znamienici goście, jednakże tematyki nie omawiam, imion i nazwisk nie podaję, szczegóły bowiem można znaleźć w jubileuszowych wydaniach „Cracovia–Leopolis”: 1 a/2009 (XX-lecie) i 3 a/2014 (XXV-lecie).

Dodam, że na pewno spotkania w „Zaułku” i spotkania u oo. Dominikanów miały różny charakter. Tu rej wodziła Dzikka Stopczyńska, często zapraszając Jagę Wrońską, Jurka Bożyka i innych artystów, były to bowiem spotkania bardziej „teatralne”, „spektakle słowno-muzyczne”.

29 czerwca 2010 roku odbyło się to ostatnie spotkanie w „Zaułku”, z przyczyn od nas niezależnych nie mogliśmy spotykać się tu nadal, trzeba było szukać innego miejsca. Co dalej? Z pomocą przyszli nam panowie Stanisław Dziedzic (wówczas dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa) i Janusz Paluch (wówczas dyrektor Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie). Mieliśmy do wyboru pokój w budynku Śródmiejskiego Ośrodka Kultury przy ul. Mikołajskiej w Małym Rynku albo salę Baltazara Fontany w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” przy ul. Szczępańskiej 1. Po obejrzeniu pokoiku w ŚOK-u, który wydawał mi się za mały na nasze spotkania, wtedy było nas bowiem dużo więcej, szybkim krokiem skierowałam się „Pod Gruszkę” i tu spotkałam serdeczną osobę, Grażynę Potoczek, która wtedy kierowała klubem i kieruje nim do dziś. Błyskawiczna decyzja i od września 2010 roku spotykamy się w tym pięknym miejscu. W tzw. „między czasie”, w 2017 roku, miejsce to przeszło pod władanie Biblioteki Kraków, w której funkcję dyrektora pełnił przyjazny naszym działaniom pan dr Stanisław Dziedzic.



Ostatnie spotkanie w „Zaułku”. I rząd od lewej: †Andrzej Chlipalski, Roma Krzemień, Anna Stengl, †Irena Skrzyszewska, Maria Mokrzykowa, †Jadwiga Wawrzukowicz, †Emilia Fedyk, †Zofia Fedyk, †Lesław Gretschel, Andrzej Pawłowski. II rząd od lewej: Barbara Kościak, †Anna Madej, Romana Żuk, Barbara Olasińska, Teresa Wojciechowska, Joanna Karolak, †Teresa Kondolewicz-Wilk, †Zofia Gądzińska (za nimi chyba †Anna Krzyżanowska i ? Ewa Śliwicką), Marta Walczewska, za nią Urszula Kogut, †Agnieszka Lubowiecka-Myczkowska, †Dzidka Stopczyńska, Wanda Olszewska, Ryszard Lerch, Małgorzata Mazur, †Adam Gyurkovich, Bronisław Bobrowski. III rząd od prawej: †Edward Adles, †Klara Zofia Starak, Tadeusz Mossoczy, †Henryk Kleinrok, †Adam Jerzy Chowaniec, †Stefan Nowotyński, Stanisław Czerny, Ryszard Kucala, †Leszek Wajda, †Danuta Różycka, †Jerzy Kowalcuk. Zdjęcie – czerwiec 2010, uaktualnione – czerwiec 2022, fotografował †Adam Dyndowicz

W 2009 roku, późną wiosną, Andrzej Chlipalski poprosił mnie, abym przejęła od niego organizację i prowadzenie spotkań. Miałam oczywiście pewne obawy, czy sprostim temu wyzwaniu, ale wiedziałam, że trzeba mu pomóc, redagować „Cracovia–Leopolis” i wiele czasu poświęcać na działalność służącą pamięci naszych stron.

Oczywiście nie odmówiłam, przejęłam tę rolę i pierwsze spotkanie, które poprowadziłam – jeszcze w „Zaułku” – odbyło się 6 października 2009 roku, a naszym gościem była Karolina Grodziska, przedstawiająca książkę swojego autorstwa *Zapomniana rzeźbiarka Janina Reichert-Toth (1895–1986) i jej twórczość*. Po prelekcji podeszłam do autorki z książką, prosząc o dedykację i oto co napisała: „Dla Ani Stengl na pamiątkę pierwszego organizowanego przez Ciebie spotkania, Karolina”... Bardzo to dla mnie cenna pamiątka, bowiem przez wiele lat, i do dziś, żyję tymi spotkaniami

i staram się, aby były zajmujące dla wszystkich uczestników.

I tak to się zaczęło... Z perspektywy czasu i wielu, wielu spotkań doceniam wartość tego doświadczenia. Poznałam interesujące, zacne osoby, ogólnie rzecz biorąc twórców z różnych dziedzin, ale przede wszystkim niezwykle osobowości. To dla mnie wielka wartość. Po około 120 przeprowadzonych przeze mnie spotkaniach, które musiały mieć sens, poza jednym (ale o tym szaa...) wszystkie były wartościowe, czasem pogodne, czasem śpiewające, ale zawsze pierwszy wtorek miesiąca był i jest dla mnie tym najważniejszym dniem. Dlaczego? Odpowiedzialność i szacunek wobec zaproszonych gości (prelegentów), ale też wobec starszych osób, które z trudem, czasem mimo złej pogody, przychodziły i przychodzą, żeby się spotkać, porozmawiać, kogoś interesującego posłuchać, pobyć razem, jest dla mnie wewnętrznym „nakazem”. To przecież



jedna z niezliczonych ich przyjemności. Przyznam, że miewałam takie chwile, kiedy z racji „zdrowotnej niemocy”, cokolwiek to znaczy, myślałam o tym, żeby zrezygnować z roli prowadzącej spotkania. Jednak po chwili rozważań myślę: – Nie, jeszcze nie!

Od pierwszego spotkania wprowadziłam książkę do wpisywania się osób obecnych; teraz myślę, że zrobiłam to intuicyjnie. Piszę tak, ponieważ doceniłam to w ostatnich latach. Przecież nie był to dziennik do sprawdzania obecności, jak na początku niektórzy sądzili. A teraz doceniłam to, że mamy ewidencję prelegentów, tematów, ich wystąpień, ale przede wszystkim wiemy, kto był, a z kim już nie możemy się spotkać, bo albo ktoś przeniósł się do innego świata, albo zły stan zdrowia zatrzymuje go w domu. Co parę lat w listopadzie nasze spotkanie to „Lwowskie Zaduszki” i wtedy bardziej dociera do naszej świadomości, dlaczego na spotkaniach w Sali Fontany jest nas coraz mniej.

Kiedyś ktoś zapytał mnie: – Skąd ty masz takich świetnych prelegentów? Nie ma reguły, jest różnie, ale mam takie szczęście, że „ludzi dobrej woli jest więcej”... Przede wszystkim pan Janusz Paluch – co jakiś czas namówił kogoś na spotkanie u nas (np. Natalia Tarkowska, Stanisław S. Nicieja, Karolina Grodziska), a poza tym jeszcze za czasów, kiedy prowadził ŚOK, zapraszał na prelekcje interesujące osoby, a ja po prelekcji podchodziłam i nieśmiało zapraszałam do

nas (to m.in. Paweł Daniel Zalewski, Hubert Chudzio, Maria Wilczek-Krupa...); nikt mi nie odmawiał.

Wielce pomocne były i są osoby, które wspierają mnie w przygotowaniu sali, sprzętu, a to: Grażyna Potoczek, Anna Ptak, Jarek Sokół, ale niezwykle cenię także wsparcie pana Janusza Palucha, na które zawsze mogłam i mogę, mam nadzieję, nadal liczyć. Piszę o tym, bo to ma zostać w pamięci wszelakiej. I moja wdzięczność też!

Często myślałam, jak rozjaśnić trudne, czasem smutne, czasem samotne życie starszych osób. Nie ma to jak Lwowskie Bale w Krakowie... W 2012 roku wpadłam na szalony pomysł, aby urządzić lwowski bal. To świetny sposób, żeby przynajmniej przypomnieć sobie ten dobry czas radości, zabawy, pewnej beztroski. A poza tym oczami wyobraźni widziałam, jak panie otwierają szafy, szukają „w co się ubrać?”, otwierają puzderka z biżuterią, myślą, co do czego pasuje... Bal się odbył, było świetnie! To miał być jeden bal! A potem co roku w karnawale były kolejne – skończyliśmy na dzieńiątym, przy czym sześć odbyło się w Sali Fontany, a kiedy już nie było to możliwe ze względu na zarządzenia konserwatorskie, zaprosiła nas do swego domu, a ściślej do „Piwnicy na strychu” Roma Krzemieniowa. Ostatni, dziewiąty bal miał nas prowadzić do jubileuszowego – dziesiątego, ale... nastąpiła pandemia. Bale były naprawdę lwowskie. Kilkadziesiąt osób (w wieku kilkanaście do 95 lat) na parkiecie, lwowskie piosenki, wszyscy bawili się znakomicie, nikt nie mógł siedzieć „pod ścianą”. Ogromnym wsparciem w organizacji była przede wszystkim Grażyna Potoczek (bale w Sali Fontany), a później Roma Krzemieniowa, a także dla mnie Ryszard Kucala, odpowiedzialny za muzykę, jego rodzice i koledzy, którzy dekorowali salę... Wspaniały czas lwowskiej zabawy! Tęsknię za tym czasem... bardzo!

Właściwie większość moich działań to ukłon w stronę starszych osób – ich tęsknota za swoim miejscem na ziemi i pogarszająca się sprawność – to nie ułatwia życia.

Mam nadzieję, że tło opowieści o naszych spotkaniach jest wystarczające, trzeba przejść do szczegółów... A szczegóły – to spotkania z niektórymi osobami, trudno bowiem



podać tematykę wszystkich 120 spotkań, to byłby brak litości dla czytelników. Zresztą relacje z naszych spotkań można przeczytać w kolejnych sprawozdaniach działalności Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich do XXX-lecia włącznie, które ukazywały się w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”. Nie jest to tak, że wartościuję i wybieram „lepsze i gorsze”, bo wszystkie spotkania były interesujące, bardziej istotne jest KTO i O CZYM. Przecież nasi prelegenci w większości bezpośrednio lub pośrednio mają związek z tematyką, która leży w naszych lwowsko-kresowych zainteresowaniach, albo rodzinnie są z nią powiązani. Dodam, że zastosuję tu regułę PT (*pleno titulo*) w odniesieniu do wszystkich państwa przeze mnie wymienionych.

I tu chciałabym przedstawić tych, którzy są najbliższej tematyki lwowsko-kresowej, podając tematy ich prelekcji:

Stanisław Dziedzic (1953–2021): „Dni Krakowa we Lwowie”; „Wielcy ludzie Kościola – Józef Bilczewski” (współautorka Małgorzata Dziedzic); „Kraków to jest wielka rzecz”; „Portrety niepospolitych”.

Karolina Grodziska: „Zapomniana rzeźbiarka Janina Reichert-Toth (1895–1986) i jej twórczość”; „Liście, listy, wspomnienia...”; „Stanisław Gottfried (1892–1915), lwowski poeta Młodej Polski”; „Zapomniani lwowscy dziennikarze – Jan Zahradnik, Michalina Grekowicz-Hausnerowa”.

Stanisław Sławomir Nicieja: prezentacja kolejnych tomów wielkiego, wspaniałego dzieła *Kresowa Atlantyda*. Obecnie ukazał się tom XVIII. Dodam, że spotkania ze Stanisławem Nicieją to prawdziwa uczta – fascynuje wiedzą, ogromem wykonanej pracy, erudycją, pięknym polskim językiem...

Bogdan Stanisław Kasprowicz (po śmierci Janusza Wasylkowskiego – prezes Instytutu Lwowskiego): *Chaczkar* – album poezji poświęcony pamięci Ormian w 100. rocznicę pierwszego ludobójstwa w XX wieku; „Ormianie we Lwowie”, a także ekspozycja dorobku Instytutu Lwowskiego z okazji jubileuszu 25-lecia istnienia (1991–2016).

Mariusz Olbromski: wieczór poetycko-muzyczny „Róża i kamień. Podróże na Kresy”, przy fortepianie Maria Baka-Wilczek; wieczór autorski „Dwa skrzydła nadziei” – poematy o Papieżu: *Rozważania lubaczowskie*

i *Poemat jednej nocy* jako wotum dziękczynne za dar pielgrzymek Ojca Świętego Jana Pawła II do Archidiecezji Lwowskiej, Lubaczów (1991) – Lwów (2001).

Wiesław Helak: „Lwowska noc”; „Scenariusze syberyjskie”, obie prezentacje z udziałem Piotra Piechy, aktora Teatru Ludowego w Krakowie; „Nad Zbruczem”.

Stanisław Srokowski: O wydarzeniach na Wołyniu w 1943 roku.

Kazimierz Wiech: „Rzeźbiarze z Cmentarza Łyczakowskiego”; „Pomniki patriotyzmu polskiego na Cmentarzu Łyczakowskim” w 150 rocznicę powstania styczniowego.

Piotr Tymiński: „Lwowski ptak”.

Ryszard Jan Czarnowski: „Lwów. Legenda zawsze wierna”.

Maria Wilczek-Krupa: „Kilar. Geniusz o dwóch twarzach”.

4 listopada 2014 roku koncert „Missa pro pace” pod dyrekcją Kazimierza Korda zarejestrowany w 2004 roku w Katedrze pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny we Lwowie. To były nasze lwowskie Zaduszki.

Teresa Dutkiewicz (1941–2022): Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie.

Hubert Chudzio (założyciel i dyrektor Centrum Dokumentacji, Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie z zespołem: Anna Hejczyk, Alicja



Nasz Przyjaciel dr Stanisław Dziedzic, fot. Krzysztof Lis



Jest Bal Lwowski, jest Baczewski „pod okiem” Ryszarda Kucały



Śmigielska, Mariusz Solarz): „Losy Sybiraków w Afryce”; film „Wypędzeni”.

Paweł Daniel Zalewski (prawuk Ludwika Zalewskiego, znanego cukiernika ze Lwowa, wnuk Władysława Zalewskiego, zesłanego na Sybir, syn Władysława Zalewskiego, profesora ASP, konserwatora zabytków): „Bez pamięci”; „Album Zalewskich” – losy czterech pokoleń na przestrzeni 100 lat, z tekstem napisanym przez ostatniego z rodu – Pawła.

Tadeusz Bystrzak: „Talowski”.

Natalia Tarkowska: „Lecznica narodu. Kulturotwórcza rola Zakładu Przyrodoleczniczego Doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie na Pokuciu (1893–1939)”.

Teresa Siedlar-Kołyшко (1929–2022): „O wyprawach na Kresy”; „Przecież tu Polska kiedyś była”.

Michał Piekarski (wnuk Remigiusza Węgrzynowicza, profesora weterynarii): „Muzyka we Lwowie. Od Mozarta do Majewskiego. Kompozytorzy, muzycy, instytucje”; koncertowo: „Muzyka w lwowskim salonie” – słowo muzyczne i gra na fortepianie Michał Piekarski, śpiew Michał Janicki – śpiewak operowy, baryton.

Sławomir Zachariewicz: Julian Okta-wian Zachariewicz (1837–1898), znakomity

lwowski architekt we wspomnieniach prawnika.

Jarosław Krasnodębski (historyk), **Eugeniusz Sało** (dziennikarz „Kuriera Galicyjskiego”): film dokumentalny „Tam był mi raj. Opowieść o dawnym Stanisławowie”.

Robert Nowakowski: „Człowiek z sową”.

Ks. Jan Nowak, postulator w procesie beatyfikacyjnym Czcigodnego Sługi Bożego, Apostoła Kazachstanu, Patrona Kresowian, ks. Władysława Bukowińskiego.

Małgorzata Goździk (absolwentka ASP w Krakowie): „Tort”. Autorski film o procesie twórczym, emocjach w kontakcie z drugim człowiekiem i pogodnej starości; postacie w filmie to pp. Emma i Zosia Fedyk.

Andrzej Betlej, Agata Dworzak: „Kościoty i klasztory dawnego województwa bełskiego”.

Ryszard Frączek, o. Bruno Neumann OH: Album „Bazylika Metropolitalna Obrzędu Łacińskiego we Lwowie. Dzieje. Architektura. Wspólnota.”

Paweł Brzegowy i Sławomir Dorocki to niezawodni prelegenci na naszych spotkaniach. Zwłaszcza na Pawła Brzegowego zawsze mogłam i mogę liczyć, także wtedy, kiedy ktoś zapowiedziany „zaniemoże”. Trudno wymienić tematy jego prelekcji, jest ich wiele, choć zawsze związane są ze Lwowem i zawsze niezwykle interesujące.

Czasem było też i muzycznie i rozrywkowo, odwiedzał nas zespół „Promyki Krakowa” pod dyrekcją Romy Krzemieniowej, a także na kolędowanie przyjeżdżali do nas Adaśku (Adam Żurawski) i Jędrus (Andrzej Jaworski) z kabaretu „Tyliгентne Batiary”.

Z nadzieją, że jeszcze niejedno spotkanie przed nami, a może i Lwowski Bal w Krakowie u Romy w „Piwnicy na Strychu”, życzę Państwu, ale sobie też, abyśmy mogli spotykać się jak najdłużej w zdrowiu, jak zawsze pogodni, choć z nieuniknioną tęsknotą w sercu.

Fotografie z archiwum autorki

Errata

Stare przysłowie mówi, że pośpiech wskazany jest tylko przy łapaniu pcheł... Podczas pisania tekstu *Zaleszczyki, jakich nie ma...* opublikowanego w „Cracovia Leopoldis” nr 1/2022 (s. 62–63) wkrały się dwa istotne błędy, które wymagają sprostowania. Już w pierwszym zdaniu padło stwierdzenie lokujące Zaleszczyki zarówno nad Dniestrem, jak i Zbruczem. Oczywiście chodzi o rzekę Dniestr. Tadeusz Dołęga-Mostowicz zginął 20 września 1939 roku w Kutach nad Czereczem (nie nad Zbruczem, jak błędnie podano).

Na I stronie okładki:

Spotkanie z prof. Stanisławem S. Nicieją podczas tradycyjnego wtorku kresowego
(5 października 2021 r.) w Klubie Dziennikarzy Pod Gruszką Biblioteki Kraków
(fot. Krzysztof Lis)

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Lesław Popławski

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAN i PAU,
ks. prof. dr hab. Józef Wolczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX
wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz M. Paluch –
redaktor naczelny kwartalnika, Lesław Popławski – prezes Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

Redakcja:

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Janusz M. Paluch (redaktor
naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska,
Aleksandra Solarewicz (Wrocław)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: cracovialeopolis@gmail.com

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania
śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie,
stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Danuta Nespiak MIĘDZY ORŁEM A TRYZUBEM. NIEPOKÓJ I NADZIEJA	1	Musica Leopoldis Michał Piekarski LWOWSKA „PANI TWARDOWSKA”	44
Rozmowa Z MARKIEM A. KOPROWSKIM ROZMAWIA JANUSZ M. PALUCH	4	Marcin Bruchnalski KILKA SŁÓW O RODZINIE BRUCHNALSKICH	46
Antoni Wilgusiewicz PASTERZE NIEŻŁOMNI. LOSY KAPŁANÓW ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ I PO JEJ ZAKOŃCZENIU	13	Tomasz Fabiańczyk MARCIN ERNST – NIESTRUDZONY POPULARYZATOR ASTRONOMII	49
Aleksandra Solarewicz SERCEM Z NAMI. WIELKOPOLANIE WOBEC KRESÓW WSCHODNICH PO I WOJNIE ŚWIATOWEJ WE WSPOMNIENIACH BARBARY Z SURZYŃSKICH ZAKRZEWSKIEJ (1922–2015)	18	Proza Katarzyna Turaj-Kalińska BEZ PAMIĘCI. FRAGMENT NIEDRUKOWANEJ KSIĄŻKI NA KAŻDYM KROKU KONIEC ŚWIATA	51
Paweł Brzegowy PODRÓŻE PROF. EMILA DUNIKOWSKIEGO	22	Barbara Ołasińska HISTORIA JEDNEGO ADRESU WE LWOWIE...	55
Rozmowa ŻOŁNIERZ STANĄŁ NA WYSOKOŚCI ZADANIA. ARMIA KRAJOWA W OPERACJI „BURZA” WE LWOWIE. Z DR. DAMIANEM KAROLEM MARKOWSKIM, HISTORYKIEM Z IPN, ROZMAWIA PAWEŁ STACHNIK	27	Beata Kowalska-Sionko KATOWICKIE URODZINY WOJCIECHA KILARA	56
Proza Tadeusz Olszański PRYZYSTANEK KRAKÓW	32	Poezja JÓZEF CZECHOWICZ (1903–1939)	58
Ulice Lwowa Franciszek Haber ULICA ROMANOWICZA	35	Książki Beata Bednarz MOJE LEKTURY: PUKLERZ MOHORTA ♦ KRESY KRESÓW STANISŁAWÓW ♦ POLESIE	59
		Anna Stengl ACH TE NASZE SPOTKANIA...	62